



Zeszyty TŁUMACKIE



I KWARTAŁ 2001

ISSN: 1426-4129

Nr 1(21)

Pismo Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan — Wrocław



Tłumacz, ul. Piłsudskiego

Pamiątkowe ornaty z Tłumacza



Prezentowanie ornatów (prawie 100-letnich) z kościoła pw. św. Anny w Tłumaczu, uratowanych przez Weronikę Kłapkowską w Siedlakowicach.

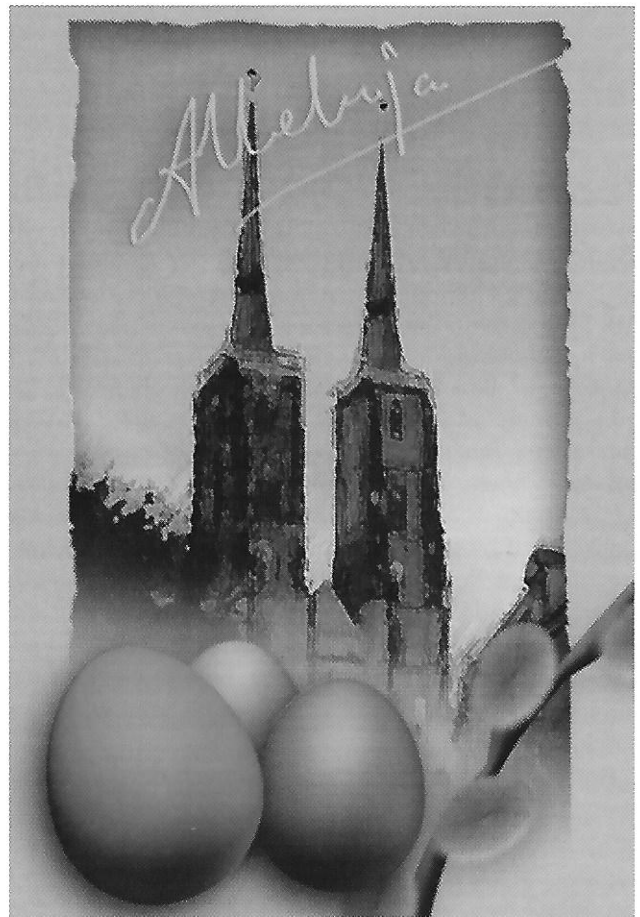
Piękne ornaty prezentują kolejno:
Anna Panachida-Bocheńska, Weronika Kłapkowska
i Jerzy Czyżycki.

Słuchając radosnego brzmienia rezurekcyjnych dzwonów zwiastujących wielki tryumf Chrystusa, życzymy Wam Drodzy Tłumaczanie, Szanowni Czytelnicy Zeszytów Tłumackich spędzenia tradycyjnych Świąt Wielkanocnych w zdrowiu, spokoju i radości!

*Redakcja i Zarząd
Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan*

*Nadszedł czas Wielkanocny –
Czas radosnego Alleluja,
Czas szczególnego obdarowywania,
Życzliwości, przebaczenia i braterstwa.
Niech Zmarwychwstały Pan błogosławi
Wam na każdy dzień!
Każdy kwiat, który rozkwita,
Każde dziecko, które się rodzi,
Każde Zmartwychwstanie –
Powtarza Światu radosną nowinę
Że Bóg nie zmęczył się człowiekiem!*

ks. Adam Solec



Z Tłumacza – do wrocławskiego Muzeum Archidiecezjalnego

Jerzy Czyżycki

Pamiętkowe ornaty

Siedlakowice koło Wrocławia. Ostatnia niedziela lipca 2000 r. Upalne popołudnie. Siedzimy i odpoczywamy w gościnnym domu, osiadłej tu po wojnie, tłumaczanki pani Weroniki Kłapkowskiej. Niedawno w miejscowym kościele skończyła się uroczysta Msza Odpustowa dla pielgrzymów-tłumaczan przybyłych, jak co roku w lipcu, z całego kraju do swojej PANI – tłumackiej św. Anny Samotrzeciej, której cudowny obraz znajduje się obecnie tu w Siedlakowicach. Przywieźli go z sobą tłumaczanie, gdy musieli po wojnie opuścić swoje rodzinne miasto i Kresy. Wędrował z nimi przez Gniechowice, Kąty Wrocławskie, aż ostatecznie zawisł nad ołtarzem w kościółku siedlakowickim.

Czekając rozpoczęcia dorocznej „wieczery pielgrzymów”, przygotowanej tradycyjnie przez panią Weronikę, pijemy chłodzące napoje, rozmawiamy. Wspominamy dawne, tłumackie, oczywiście „dobre” czasy. Któryś już raz z rzędu powracamy do losów ekspatriowanych po wojnie mieszkańców Tłumacza i okolicznych miejscowości oraz perygrynacji wędrującego wraz z nimi obrazu ich patronki, św. Anny Samotrzeciej. – A wiecie – mówi p. Weronika – że przechowuję ornaty tłumackich księży? Przywiezione ukradkiem stamtąd, długo jeszcze służyły tu kapłanom do odprawiania mszy św. Aż do wprowadzenia nowych wzorów. Wycofano je i powinny być zostać spalone, jak nakazuje kościelny zwyczaj likwidowania szat liturgicznych. Opiekowałam się wtedy naszym kościółkiem i nie mogłam się pogodzić, że ulegną zniszczeniu – taki

kawał świata wędrowały z nami, ocalały, są jednymi z nielicznych tłumackich pamiętek kresowych, cennych i pięknych... Chcecie je zobaczyć? Chodźcie, pokażę wam...

Zaprowadziła nas na strych swojego domu. Wisiało tam, pieczołowicie osłoniętych, pięć wyszywanych, kolorowych ornatów: biały, czerwony, czarny, zielony i fioletowy. – Jeden z nich był mocno podniszczony – poinformowała ich „opiekunka”. Wymieniłam zniszczone fragmenty, odnowiłam pozostałe... Prawda, że są piękne?!

Wszyscy oglądający je tłumaczanie byli tego samego zdania. Władek Hapoński i córka Maryli Grabowieckiej-Dostał zrobili zdjęcia pięciu ornatów.

„Ornaty Weroniki” zdominowały rozmowy przy stole podczas „wieczery” tłumackich pielgrzymów. Zastanawiano się, jak te autentyczne, piękne pamiętki ocalić od zapomnienia. Zaproponowałam wówczas, żeby je przekazać do wrocławskiego Muzeum Archidiecezjalnego. Uczestnicy pielgrzymki i pani Weronika poparli mój pomysł. Po powrocie do Wrocławia zwróciłem się, w imieniu tłumaczan, do dyrektora Muzeum Archidiecezjalnego ks. dr. Józefa Patera zapytaniem czy możemy przekazać muzeum nasze cenne pamiętki z Kresów. Wyraził zgodę.

Pięć pięknie haftowanych, kolorowych ornatów kościelnych z dalekiego Tłumacza na b. Kresach II Rzeczypospolitej, trafiło po latach do Muzeum Archidiecezjalnego nad Odrą. Znalazły się w godnym je miejscu. Tłumaczanie są wdzięczni za to ks. dr. J. Paterze. □

Wspomnienia z I wojny światowej

Przygody wojenne artylerzysty – kowala z Jezierzan

Mieczysław Zdanowicz

Z chwilą zamordowania arcyksiężęcej pary Habsburgów w Sarajewie w 1914 r. oczywistym stało się, że dyplomacja już rolę swoją skończyła, a armaty rozstrzygać będą powikłania bałkańskie. Po wypowiedzeniu wojny Serbii przez Austrię, co zapoczątkowało pierwszą wojnę światową, powszechny pobór rekrutów osiągnął mego wuja Mariana Starościaka. Komisja wojskowa oceniając wysoko silną budowę poborowego oraz jego dobre kwalifikacje pierwszego kowala wsi, przydzieliła go do ciężkiej artylerii i wysłała na front serbski. Kanonier Starościak w Serbii przeszedł ciężką i krwawą kampanię. Po wypowiedzeniu wojny Austrii przez Włochy, bateria ciężkich dział Mariana Starościaka wysłana została na front w Alpy austriacko-włoskie.

Bateria ciężkich dział, oprócz samych dział i amunicji, składała się z artylerzystów – żołnierzy różnej narodowości: galicyjskich Polaków, Żydów, Ukraińców, Czechów, Węgrów oraz austriackich oficerów i dowódców. Kilkanaście baterii tworzyło silną dywizję ciężkiej artylerii, dumę głównego dowództwa wojny w Alpach włoskich.

Była to oczywista zasługa tragicznie zmarłych wcześniej następców tronu Habsburgów, Arcyksięcia Rudolfa, syna Franciszka Józefa oraz Arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, bratanka Cesarza Austrii. Cesarz Franciszek Józef będąc świetnym kawalerzystą, szczególną troską i sympatią darzył kawalerię, a następnie piechotę, na dalszym miejscu stała artyleria. Następcy tronu studiując strategię wojenne Napoleona i Prusaków doceniali wielkie znaczenie artylerii w walce z przeciwnikiem.

Wojna w Alpach w trudnym górskim terenie była szczególnie ciężka i wykańczająca. Konwoje z zaopatrzeniem amunicji i żywności nie nadążały za armatami, ponieważ największą troską dowództwa było, aby armaty osiągały wciąż przednie pozycje. Mimo szczególnej troski często brakowało amunicji i wówczas działa tygodniami czekały na taborzy z zaopatrzeniem. Czas „postoju w wojnie” dowództwo wykorzystywało na szkolenie i musztrę żołnierzy, a oficerowie w tym zajęciu wykazywali szczególnie dużo inwencji i zaangażowania.

Kowadelko

Nie mniej niż wroga frontowego oficerowie austriaccy wraz z dowództwem bali się panicznie wszy. Obsesyjny strach przed tyfusem powodował częste inspekcje sanitarne w koszarach polowych. Za znalezienie wszy w bieleźnie lub w pościeli żołnierza, stosowano wymyślną karę. Ukarany artylerzysta przez godzinę tłukł na kowadelku młotkiem znalezione każdą wesz. Parowe odswadzanie nie nadążało za potrzebą i żołnierze często ze wszą w garści czekali w kolejce do kowadelka. Czas jednej godziny sumiennie odliczał feldfelbel z zegarkiem w ręku. Nie wiadomo czy kowadelko było świadomym wymysłem dowództwa czy przypadkowym, lecz oczywistą rzeczą było, że ten „kabaret z kowadelkiem” ratował żołnierza frontowego przed nudą i niebezpieczną frustracją. Nic więc

dziwnego, że problem wszy był częstym spontanicznie podejmowanym tematem w koszarach.

Gdy przyszła kolej nocnej warty przy armatach na mego wuja Mariana, wówczas postanowił on przeprowadzić eksperyment, który mógłby wyeliminować kowadelko. Poprosił o jedną dorodną wesz, którą nietrudno było znaleźć, włożył ją do pudełka od zapalek, zabierając karabin stanął na warcie przy działach. Wuj będąc dobrym i uznanym kowalem we wsi, miał obsesyjną niechęć do małego kowadelka w koszarach. Noc była świetliście jasna, śnieg iskrzył się srebrzyście w świetle pełni księżyca. Trzaskający mróz dochodził do 30 stopni minus. Wujek Marian wyjął z pudełeczka wesz i starannie ułożył ją na lufie armaty. Obserwując przedmiot swego eksperymentu zauważył, że wesz skurczyła się i w krótkim czasie zamarzyła na tzw. „kość”. Po dwóch godzinach warty wuj ostrożnie zamrożoną wesz włożył z powrotem do pudełeczka i powrócił do ciepłych koszar.

Cały blok koszarowy zainteresowany wynikiem eksperymentu zgromadził żołnierzy przy stole, na którego blacie ustawione zostało pudełeczko. Następnie wuj Marian ostrożnie wyjął zamarniętą na kość eksperymentalną wesz i ułożył ją na blacie stołu. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, nastąpiła zupełna cisza. Po paru minutach wesz lekko drgnęła, żołnierze wstrzymali oddech. Ku zaskoczeniu wszystkich wesz ruszyła nagle do przodu i zaczęła wędrować normalnie po blacie stołu. I wówczas wyrwał się ogólny donośny okrzyk żołnierzy w wielu językach – „O ...!” – Na ten głośny okrzyk przekleństw i szyderczych śmiechów, wpadł feldfelbel z okrzykiem „– Co się tu dzieje?!”. Za nieudany eksperyment wuj Marian został ukarany i przez całą godzinę klepał alpejską wesz na kowadelku. Wszyscy artylerzyści byli mocno rozbawieni, tylko wuj Marian czuł się wyraźnie nieswojo, bo klepał cudzą, a nie swoją wesz na kowadelku. I tak wesz została bohaterką tej nocy na całym froncie włoskim.

Między kuchnią a latryną

Funkcja kucharza polowej kuchni na froncie nie była łatwa, a nie docenianie jej wartości i znaczenia strategicznego może drogo kosztować armię. O tym boleśnie przekonał się austriacki sztab dowodzenia kilku baterii ciężkiej artylerii w Alpach włoskich. Dowództwo odcinka frontu z udziałem doświadczonych oficerów, doradców i rzeczoznawców przez kilka tygodni szczegółowo opracowywało strategię ataku celem zdobycia sąsiedniego wzgórza, na którym okopała się nieprzyjacielska piechota włoska z działami. Ten perfekcyjnie opracowany plan strategiczny został nieomal w jednej godzinie obalony przez kucharza Czecha Jarosława „Knedliczka”, to przezwisko, które mocno przylgnęło do rudego i piegowanego „mistrza Kuchni”.

Całkowita dezorganizacja starannie opracowanej ofensywy nie była świadomym sabotażem „Knedliczki”. Zawinił tabor – czyli zaopatrzenie. Stałym problemem zaopatrzenia frontu była woda, jej ustawiczny niedobór był do-

tkliwy dla żołnierzy. Konwój objuczonych mułów i osłów w beczki z wodą na trasach górskich często padał ofiarą ostrzałów artylerii i nalotów aeroplanów. Spłoszone staczały się wraz z beczkami w przepaść. Gdy dotarła od dawna oczekiwana przez wszystkich dostawa żywności okazało się, że dostarczone surowce i produkty są mocno zepsute. Kasza, chleb i tytoń spleśniały od wilgoci, suchary i fasola napęczniały jak kartofle, zepsuta była wołowina, jedynie konserwy i zjełczała słonina z papryką były zdatne do jedzenia. Kucharz Knedliczek miał bardzo trudne zadanie do spełnienia. W przeddzień zaplanowanej ofensywy otrzymał rozkaz przygotowania smacznego i wzmacniającego posiłku dla wszystkich żołnierzy.

Jarosław Knedliczek wraz z pomocnikiem Cyganem Michaiłem z Rumunii zajęli się przygotowaniem zasadniczego dania obiadowego. Nieznane nam do dziś są składniki tego destrukcyjnego w skutkach posiłku frontowego, przypuszczalnie było ich za wiele. Po zjedzeniu obiadu i wypiciu gorącej herbaty i kwaterki rumu zaczęły się objawiać eksplozywne skutki smakowitego nad wyraz obiadu. Wpierw pojedynczo, a później grupkami żołnierze zaczęli spieszyć w kierunku latryny. Połowa „wygódka” usytuowana została opodal koszar wśród zarośli z krzewów i kilku drzew liściasto-iglastych. Architektura latryny składała się z głębokiego i długiego do 40-tu metrów rowu oraz z balustrady – płotu, zbitych żerdzi. Załatwiając potrzebę biologiczną należało oburącz trzymać się płotu, a tyłek wystawiać w stronę rowu. Po niedługim czasie grupki żołnierzy zaczęły przyspieszać swe kroki, a później jak lawina duża grupa galopem już biegła do latryny. W niespełną godzinę cała długość plenerowej latryny świeciła blaskiem gołych tyłków żołnierzy. Gdy wujek Marian dobiegał już do latryny, posłyszał nagły trzask i łamanie się bariery. W kilka sekund bariera na całej długości załamała się i kilkadziesiąt żołnierzy kurczowo trzymających się złamanych żerdzi wpadło do latryny. Tyle głośnego krzyku, wrzasku i przekleństw w różnych językach chyba nikt nie słyszał w czasie pierwszej wojny światowej. Natychmiast przystąpiono do ratowania poszkodowanych. Z pomocą haków i żerdzi zaczęto wyciągać nieszczęśliwych żołnierzy z kloaki. Niesamowity smród przyprawiał wszystkich o mdlenie. Obraz ten, którego nie sposób opisać, był żenująco żalony! Po kilkugodzinnej akcji ratowniczej pluton nagusów (uprzednio zlanych obficie wodą) czekał na bieliznę i mundury. Złorzeczeniom i przekleństwom nie było końca. Poszkodowani domagali się surowej kary, powieszenia lub utopienia w kloace kucharza Knedliczki. Od samosądu nad kucharzem uratował go dowódca, który skazał pechowego kucharza na tydzień ścisłego aresztu o chlebie i wodzie.

Kuchnia polowa i kataklizm latryny dokonały fatalnej dezorganizacji ważnego odcinka artylerii ciężkiej na froncie włoskim. Oficerowie z przerażeniem obserwowali utratę bojowości wszystkich żołnierzy. Jak zaraza rozpanoszyła się apatia i zniechęcenie do wszystkiego, sfrustrowani żołnierze z dużym wysiłkiem wykonywali rozkazy w zwolnionym tempie. Zaczęły się pierwsze dezercje, które szczególnie zaniepokoiły wszystkich oficerów i dowództwo. Możliwość przechwycenia dezercerów przez wroga i ukazanie przez nich fatalnego stanu bojowego austriackiego wojska przeciwnikom z sąsiedniego wzgórza, spędzała sen z powiek całemu sztabowi dowodzenia. Nie do pojęcia dla wszystkich było, że do takiego stanu zerowe-

go bojowości armii odcinka frontu „FBX-4” doprowadził rudy kucharz Knedliczek.

Zwołano poszerzoną Radę Wojenną z udziałem doświadczonych oficerów kadry, doradców i rzeczoznawców oraz oficerów jednostki zaopatrzenia. Po długiej i wyczerpującej naradzie Sztabu postanowiono po pierwsze wzmacnić dyscyplinę i przywrócić siłę bojową żołnierzy. Aby tego dokonać należy zdecydowanie poprawić i usprawnić zaopatrzenie. Należy starannie opracować strategię ofensywy by zdobyć sąsiednie wzgórza zajęte przez przeciwnika. Jak najwcześniejsza mobilizacja wysiłków i atak na wroga może zażegnać postępującą demoralizację żołnierzy. Ze względu na całkowite wyczerpanie rezerwy konserw należy zwolnić z aresztu kucharza i odkomenderować go do kuchni. Powołana została dwuosobowa komisja, która miała stale dokonywać inspekcji kuchni polowej. Na desce przybitej do żerdzi feldfebel miał obowiązek zapisywać kredą nazwę każdego dania oraz produkty – surowce, które wchodziły do przygotowywanego posiłku. Miało to na celu wzbudzać zaufanie i wiarygodność dla potraw kuchni polowej. Niebawem nadeszły podwoły z zaopatrzeniem żywności. Po tygodniu sytuacja ogólnie się poprawiła, lecz było za wcześnie aby przeprowadzić ofensywę na wroga. Nienawiść i uprzedzenie do rudego kucharza Knedliczki powoli słabły. Do przełamania głębokiej niechęci przyczyniły się znacznie frontowe koncerty muzyki rudego kucharza grającego na harmonii i jego pomocnika przy kuchni, Cygana grającego na skrzypcach. Nieoczekiwanie rudy kucharz stał się bohaterem wśród żołnierzy gdy ujawniła się tajemnica planowanej ofensywy na przeciwnika, którą całkowicie zdeorganizował i rozłożył „na łopatki” Knedliczek. Nawet ci żołnierze, co po katastrofie latryny wołali „utopić w g... Rudego Kucharza” teraz z uznaniem poklepywali go po plecach wołając „dobrą robotę zrobiłeś Knedliczek”. I tak minął kolejny tydzień.

Do ożywienia frontowej nudy przyczyniały się skutecznie włoskie aeroplany Caproni. Nieoczekiwanie z silnym turkotem nadlatywały małymi eskadrami, czasem w pojedynkę i uprawiały istne harce w powietrzu jakby to było na popisie. Zrzucały bomby na froncie i jego tyłach, fotografowały umocnienia i tabory dostawcze, a gdy wzmagała się austriacka artyleria i karabiny przeciwlotnicze, aeroplany robiąc różne skręty, beczki i korkociągi utrudniające namiary artylerii znikaly szybko w przestworzach. Czasem dochodziło do walki przeciwnych sobie eskadr, włączały się aeroplany austriackie, wtedy widowisko było wręcz fascynujące. Odbywał się swoisty pojedynek aeroplanów jak w historycznych turniejach konnych rycerzy zbrojnych. Milkła wtedy artyleria lotnicza i piechota, a samoloty polowały na siebie z terkotem karabinów maszynowych, wspomaganych lekkimi działkami lotniczymi. Zdarzały się i solowe popisy, gdy eskadra włoskich aeroplanów odleciała, jeden aeroplan pozostawał dokonując różnych manewrów na znacznej wysokości, wówczas artyleria austriacka huraganowym ogniem ostrzeliwała tworząc pełno małych dymków wokół aeroplanu. Caproni na chwilę nieruchomiał i następnie gwałtownie zaczynał spadać w dół. Austriacy krzyczeli – Hurra! – Italiano kaput! – Lecz przedwczesna była radość, bo dwieście metrów nad ziemią lotnik włączał motor, zrzucił bombę i aeroplan szybkim lotem wspinał się w górę znikając z pola bitwy. Wówczas Polacy i Czesi wołali głośno – Hurra! – Eviva Italia!

(c.d.n.)

Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym

Powrót (c.d.)

Franciszek Petrus

Nadszedł wreszcie wrzesień.

Po bezsennej niemal nocy Kowal poderwał się bardzo wcześnie z łóżka.

Na myśl, że ma pójść do gimnazjum w mundurku, dostawał gorących wypieków na twarzy.

Żeby tylko szybko przemknąć się przez ulicę, przy której mieszkali rodzice – myślał. Tam dalej pójdzie już łatwiej. Na pewno będzie tam więcej takich jak ja – rozumował.

Jeszcze raz przyjrzał się sobie w lustrze, poprawił czapkę ze srebrną literą G i z gwałtownym biciem serca ruszył chylkiem nie spostrzeżony w domu przez nikogo – ku miastu.

Zdawało mu się, że w podwórzach, przy furtkach, sąsiedzi specjalnie zatrzymują się i przyglądają mu się pilnie.

Z uczuciem ulgi znalazł się obok kościoła i tu zauważył, jak ze wszystkich stron ciągnęli tacy jak on i tak samo ubrani w nowe mundurki uczniowie. Jedni wstępowali do kościoła, drudzy szli w stronę parku, a na twarzach wszystkich malowało się szczere rozradowanie.

Przyglądali się sobie ciekawie i natarczywie.

Przed gmachem gimnazjum panował ożywiony gwar i ruch. Obok uczniów widać było niekiedy uśmiechnięte i zadowolone twarze rodziców.

Tuż pod balkonem Kowal spotkał Zosię.

Była dziś sama.

Uklonił się jej i omal czapka nie wyslizgnęła mu się przy tym z ręki. Nie był jeszcze do niej przyzwyczajony.

Na głos dzwonka wszyscy udali się do gmachu po czym wraz z dyrektorem i profesorami cała ta radosna i kipiąca życiem gromada – jak długi, granatowy wąż – błyszcząc srebrnymi paskami i takimi literami swych czapek, ruszyła w dwóch grupach – jedna w stronę kościoła, a druga pod kierownictwem jednego z profesorów w stronę cerkwi.

W życiu małego miasteczka było to wydarzenie niecodzienne.

Po nabożeństwie dokonano rozdziału pierwszej klasy na dwa równoległe oddziały, oznaczone literami A i B.

Kowal znalazł się wraz z Zosią w oddziale B, z czego był bardzo zadowolony.

Podano rozkład godzin na najbliższe dni, po czym wszyscy wśród nieopisanego zgiełku i wrzawy zaczęli się rozchodzić do domów.

Kowal kroczył teraz odważnie swą ulicą. Już zdążył się oswoić ze swym nowym ubiorem.

W podwórzu natknął się najpierw na ojca, a potem na matkę. Patrzyli na niego zadowoleni, z uśmiechem. Bracia i siostry przyglądali mu się z niegasnącym zainteresowaniem. Zapewne zazdrościli mu tego pięknego munduru i tych zgrabnych trzewików.

Rozpoczęła się normalna nauka.

Dnie i tygodnie mijały szybko. Kowal nie spostrzegł się nawet jak minęła piękna jesień i zaczęły się szare, słotne dni. Cały swój czas poświęcał nauce lub też czytaniu wypożyczonych w bibliotece szkolnej książek. Szczególne upodobanie znajdował w czytaniu powieści historycznych, które go tak

żywo wprowadzały w ducha opisywanych czasów i zdarzeń. Pożerał wprost powieści Kraszewskiego i wieczorami dzielił się swymi wiadomościami i spostrzeżeniami z rodzicami i braćmi, którzy słuchali go z zainteresowaniem. Zaczęli się zbierać wieczorami obok swoich również sąsiedzi, którzy też chcieli posłuchać i dowiedzieć się czego uczą w gimnazjum.

Namiętnie wprost uczył się łaciny i języka niemieckiego, opanowując pamięciowo całe stronicę czytanek łacińskich i niemieckich. Odczuwał w całej pełni rozkosz pogłębiania swych wiadomości i cieszył się ogromnie, gdy mógł pomóc swym kolegom w przerabianiu trudniejszych lekcji.

W czasie pauz, często otoczony gromadką swych kolegów, wygłaszał zadane lekcje historii starożytnej, geografii, czytanki polskie i niemieckie, ułatwiając kolegom w ten sposób przyswojenie sobie zadanego materiału oraz pogłębiając i ugruntowując przy tym również znajomość poszczególnych przedmiotów. Stopniowo zyskiwał opinię jednego z pierwszych uczniów.

Zaszło w ciągu tego czasu jednak coś, co mu żywo przypominało naukę w szkole ludowej.

Było to na lekcji geografii. Pamiętał ją później przez całe życie. Profesor Szlachecki, który uczył niemieckiego, uczył również geografii. Był bardzo surowy i wymagający. Zadał do przerobienia i nauczania się na pamięć w ciągu niecałego tygodnia półwyspów, cieśnin i zatok ze wszystkich części świata. Ponieważ w całej klasie zaledwie kilku zamożniejszych uczniów posiadało atlasy geograficzne, pozostali wypisywali kolejno z tych atlasów półwyspy, zatoki i cieśniny, ucząc się ich – mniej lub więcej dokładnie – na pamięć. Na domiar złego w klasie nie było innych map, jak tylko obie półkule. I na tych półkulach trzeba było odszukiwać i recytować owe nieszczęsne zatoki, półwyspy i cieśniny. Oczywiście nie wszystkim się to udawało, nic też dziwnego, że profesor szalał jak demon zniszczenia, sypiąc – nie bez pewnej satysfakcji i upodobania – dwóje na prawo i lewo. Doświadczył tego i Kowal.

Wezwany do mapy, wyrecytował po kolei wszystkie zatoki z pamięci. Wydało się to profesorowi podejrzanym i nagle nie wstając zza katedry zwrócił się do Kowala z poleceniem wskazania Zatoki Biskajskiej. Serce w nim zamarło. Cała klasa z zapartym oddechem śledziła przebieg lekcji, obserwując profesora i Kowala.

Nie znalazł wspomnianej zatoki.

– Marsz na miejsce! – padły krótkie i stanowcze słowa zza katedry – coś jak zgrzyt ostrego pilnika po szkło.

Zdawało się Kowalowi, że sufit runął całym swym ciężarem na jego głowę. Chwiejnym krokiem doszedł wolno do swej ławki.

O co chodziło – zastanawiał się Kowal – czy o to, by czegoś nauczyć tych umierających ze strachu uczniów, czy też o złapanie i wsypanie dwóji – jak się popularnie mówiło.

Często w późniejszym swym wieku wspominał tę lekcję geografii – często też śniła mu się ona i nieraz budził się obłany cały potem, z uczuciem ulgi i pewności, że to tylko sen.

Nie było żartów. Trzeba było to nadrobić i to szybko.

Zaczął chodzić do kolegów, którzy mieli atlasy i wspólnie zaczęli te rzeczy z mapy przerabiać. Po dwóch tygodniach,

kiedy już były w klasie mapy wszystkich części świata – recytował po raz wtóry zatoki – wskazując je kijem na mapie. Nawet obie półkule w dniu tym wyglądały inaczej i jakby uśmiechały się życzliwie do niego.

Pierwsze półrocze skończyło się.

Ukończył je z wynikiem bardzo dobrym.

Z uczuciem rozrzewnienia wspominał te dni, kiedy to z braku chleba w domu, szedł do szkoły bez śniadania. Głęboko wryło mu się w pamięć to przykre zdarzenie, kiedy – nie mając dwunastu centów na kupno zeszytów szkolnych – przez dwa dni nie chodził z tego powodu do szkoły. Nawet tej drobnej stosunkowo kwoty nie mogli mu dać wówczas rodzice. Było wtedy w domu bardzo ciężko.

Pewnego kwietniowego dnia korzystając z pięknej, słonecznej pogody, udał się do parku i znalazłszy ustronną ławkę oddał się lekturze. Czytał „Ogniem i mieczem”. Był tak głęboko pochłonięty czytaniem, że nie zauważył nawet, iż ktoś idzie w jego stronę. Usłyszawszy zbliżające się kroki, przerwał czytanie i naraz aż mu dech zaparło. Tuż o kilka kroków przed sobą zauważył Zosię z matką.

Poderwał się szybko. Był tak zaskoczony i onieśmieszony, że ledwie uświadomił sobie konieczność przywitania się. Speszył się ponadto mocno, gdyż nie udało mu się przepisać szurnięcie nogami.

– Czy można ci kawalerze na chwilę przeszkodzić? – zagadnęła go matka Zosi.

– Chciałam cię prosić – zaczęła – czy mógłbyś dawać lekcje Zosi. Ona ma pewne trudności z łaciną i niemieckim, no i z innymi przedmiotami też nie najlepiej jej idzie. Chodzi więc o to, by jej pomóc i trochę ją podciągnąć.

Kowal zaniemówił. Brakło mu po prostu tchu, by coś odpowiedzieć.

Zobaczył wlepione w siebie oczy Zosi, która uśmiechając się, błagalnym niemal wzrokiem popierała prośbę matki.

– Rozmawiałam z gospodarzem waszej klasy w tej sprawie i właśnie profesor Herjadin polecił mi ciebie. Ja dużo nie mogę płacić, ale będziesz na początek dostawał pięć koron miesięcznie.

– Nie – po co płacić? – wyjąkał nareszcie Kowal. Będzie się uczyć razem – i... tu zaciął się już tak mocno, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Przyszła mu z pomocą Zosia. To może od jutra – dobrze? A o której godzinie? Może o czwartej?

– Dobrze!

Znowu szurnięcie nogami, głęboki ukłon głową i obie odeszły, pozostawiając Kowala z jego rozwichrzonymi myślami.

Kowal zaczerpnął głęboko powietrze. Zdawało mu się, że przeszedł jakiś ciężki egzamin. Był tym wszystkim mocno oszłomiony.

Porządkował stopniowo swe myśli.

Zosia – lekcje – pięć koron – aż szumiało mu w uszach. Czuł lekki zawrót głowy. Nie był teraz pewny na kiedy umówił się na te lekcje i na którą godzinę. Jedno wiedział i pamiętał dobrze: za pięć koron musiał na budowie z górą tydzień ciężko pracować.

Boże! Jaki piękny ten świat i jacy dobrzy są ludzie – myślał rozradowany w głębi swego serca.

Szedł do domu pozostając ciągle jeszcze pod wrażeniem tej rozmowy.

No, dobrze – ale jak tu zwracać się do Zosi, jak jej mówić? Czy po imieniu – czy „proszę” – zadawał sobie w myślach pytanie. Jak ciężki nierozwiązany problem stanęło przed nim to zagadnienie.

Przygotowywał się długo i starannie do tej pierwszej lekcji.

Znowu przyszła noc pełna uczniowskich marzeń i urojeń.

O oznaczonej godzinie z niespokojnym biciem serca i z jakąś utajoną trwogą zjawił się u Zosi.

Matka wprowadziła go do milego, przytulnego pokoiku Zosi, którego okna wychodziły na park.

Zostali sami.

Przejrzeli rozkład godzin na następny dzień.

Drżącym i zmienionym głosem Kowal zaczął wygłaszać zadaną lekcję historii starożytnej. Mówił płynnie i z namaszczeniem o reformach braci Grakchów, tak jak gdyby sam zdawał egzamin.

Następnie zaczęli oboje powtarzać tę lekcję. Teraz oddychał już z ulgą, ale rad był w głębi duszy, że nikt więcej nie przysłuchuje się tej jego pierwszej lekcji. Z kolei przerobili lekcję niemieckiego. Kowal podyktował wszystkie nieznanne słówka, przetłumaczył tekst niemiecki na język polski, a następnie krótkimi zdaniem opowiedział treść czytanki. Po chwili Zosia próbowała również opowiadać.

Do pokoju weszła matka i przysłuchiwała się lekcji z zadowoleniem, widząc jak cierpliwie i jasno wyjaśniał trudniejsze zwroty i określenia.

Po dwóch godzinach wracał zadowolony do domu, nie czując najmniejszego zmęczenia. Jakby to pięknie i dobrze było zostać kiedyś profesorem i móc uczyć, wyjaśniać i tłumaczyć gromadzie młodych uczniów – w klasie zza katedry. Na przykład taką historię, łacinę, czy też gramatykę niemiecką – myślał upojony swym dzisiejszym występem.

Przeszło wiele lekcji podobnych do tej pierwszej.

Powoli oswoił się z tym nowym zajęciem i czuł się coraz pewniej. W maju objął jeszcze jedną lekcję za osiem koron.

Kolega jego z tej samej klasy Karol Sternberg był wybitnie inteligentnym uczniem i nieocenionym kolegą, ale brak mu było chęci do systematycznego odrabiania lekcji. Wysoce, jak na swój wiek, odcytany był przy tym urwisem i kawalerzem jakich niewielu się spotykało. Wiedzieli o tym wszyscy z gimnazjum. Czuł ponadto nieprzewyciężony wstręt do łaciny, a szczególnie do gramatyki, no i do wszelkiego wykuwania na pamięć. A było tego bardzo wiele. Lolo – jak ogólnie żartowano – tak sobie upodobał pierwszą klasę, że pozostał w niej na drugi rok.

Lekcja była ciężka i trudna do prowadzenia.

Mimo to Kowal połączył się z Lolem serdeczną przyjaźnią. Polubili się obaj od pierwszego wejrzenia. Układali plany na przyszłość, w których to co było wówczas modne – szkoła kadecka – zajmowała pierwsze miejsce. Dzięki temu mógł łatwiej wymóc na koledze odrabianie lekcji i poprawianie w ten sposób opinii u profesorów.

Lolo umiał się też w czasie lekcji w klasie „odgryzać” profesorom.

Nieraz mawiał profesor od łaciny Lipowan: „No przyjacielu Sternberg – znać pewien stopień poprawy, ale to przecież jest jeszcze na niedostatecznie!”

– Widzę panie profesorze – odpowiadał rezolutnie Lolo – że nie warto wcale uczyć się, bo czy uczyć się, czy nie – zawsze to wychodzi na niedostatecznie, więc w rezultacie po co mam się uczyć.

– Skoro taką zasadę przyjąłeś przyjacielu, to nie mam nic przeciwko temu, ale siadaj, gdyż niepotrzebnie czas tracimy.

Oczywiście tego rodzaju konwersacja odbywała się przy ogólnej wesołości całej klasy.

Bywały też w klasie niekiedy chwile bardzo ciężkie, szczególnie w czasie lekcji polskiego. Wielu Rusinów nie

znało dobrze języka polskiego, gdyż w domu posługiwali się wyłącznie językiem ruskim. Stąd mieli trudności zarówno w opracowywaniu zadań szkolnych, jak też w czasie nauki. Doprowadzało to profesora Wyrwida do wściekłości.

Szczególnie wyładowywał swą złość na Horyniu, który powtarzał pierwszą klasę. Pot formalnie oblewał go całego, gdy wygłaszał polskie opowiadanie. Widać było jak ciężko walczył z trudnościami gramatyki i jak mu trudno przychodziło opanować pamięciowo treść. Był rosy i bardzo tęgi.

Profesor Wyrwid w sposób złośliwy podchwytywał wszelkie nieprawidłowości wyrażenia i przekręcone słowa i w swej nieopanowanej furii targał Horynia za włosy, czemu wszyscy przypatrywali się z bezsilną złością.

To postępowanie oburzało Kowala i myślał nieraz o tym, że przecież Horyń musi być świadom doznawanej krzywdy i że w duszy jego niewątpliwie musi wzbierać nienawiść do ludzi, do takiej nauki i w ogóle do wszystkiego.

Raz w czasie przerwy zagadnął zmaltretowanego kolegę, czy nie może poskarżyć się ojcu. Horyń z uśmiechem i rezygnacją zarazem powiedział, że boi się o tym mówić w domu, gdyż ojciec mógłby mu jeszcze coś dołożyć za to, że nie uczy się jak należy.

O trudnościach swych dzieci rodzice oczywiście w tym czasie niewiele wiedzieli.

Trochę Kowal zaczął wątpić w ten drugi piękny świat. Nie było tu ze wszystkim tak dobrze, jak to się pozornie, na pierwszy rzut oka, wydawało.

Raz w czasie przerwy ksiądz katecheta Lapiński, który miał dyżur, wziął nagle, ni stąd, ni zowąd, Kowala pod ramię i odprowadziwszy nieco na stronę, zapytał z pewnym akcentem niezadowolenia, dlaczego rozmawia z Rusinami po rusku, a nie po polsku. Kowal był tym pytaniem mocno zaskoczony i zdziwiony zarazem.

– Przecież nam to nie robi różnicy – odpowiedział. Oni też mówią po polsku, rozmawiamy na przemian – raz po polsku, raz po rusku.

– Czy jest w tym coś złego? – prosił księdza katechety.

– No, nic złego, ale jesteś Polakiem i powinieneś rozmawiać po polsku.

– Dobrze – powiedział Kowal – ale po cóż uczymy się w takim razie języka ruskiego? U nas w domu też mówią po polsku i po rusku, nie wiem co w tym złego.

– No, nie filozofuj przyjacielu – rób jak chcesz, ale zdawało mi się, że należy ci zwrócić uwagę.

Kowal wracał po przerwie do klasy mocno przygnębiony.

Widocznie ten lepszy świat miał swoje własne prawa i zwyczaje, których on nie znał. Tam w domu, wśród sąsiadów, w środowisku ciężko pracujących ludzi panowała bezpośredniość i większa szczerość. Moralność i uczciwość miała tam jedno i to samo oblicze dla wszystkich.

Na wspaniałym i wymarzonym gmachu jaki Kowal zbudował i wyidealizował w swych myślach zaczęły występować pierwsze rysy.

Myślał intensywnie pragnąc dociec dlaczego tak jest.

W sercu jego zaczynało coś wzbierać. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego co to jest. (c.d.n.)

Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Wspomnienia wojenne Marii Johnson

Na podstawie wspomnień matki utrwalonych na taśmie – opracował Jan Johnson



Maria Johnson

Urodziłam się 1. 08. 1907 r. w Gruszce pow. Tłumacz w rodzinie Bernarda i Efozyny Pawłowiczów. Za mąż wyszłam w 1927 r. za policjanta P.P. Stanisława Johnsona pełniącego służbę w Tłumaczu. Do 1935 r. dochowaliśmy się trojga dzieci: Jana, Henryka i Romanę. Nadszedł 1939 r. W tym czasie w sierpniu lub z początkiem września opuścił komendę komisarz Gleitz wyjeżdżając „służbowo”. Zastępcą został podkomisarz

Józef Białkowski. 19. 09. 1939 r. wkroczyli do Tłumacza Sowieci. Zgodnie z poleceniem komendanta wszyscy policjanci znajdowali się w komendzie i na posterunku. Nie musieli więc Sowieci ich szukać i wszystkich zgarnęli bez problemów. Poprowadzili ich po tym w kierunku Horodenki, a dalej do Podwołoczysk. Tam został założony obóz wojenny. Korzy-

stając z nieuwagi „bojca” udało się mężowi wraz z panem Romanem Świerzewskim uciec z obozu. Po wielu perypetiach dotarli razem do rodzinnego miasta Tłumacza. Ze względu na niebezpieczeństwo odkrycia powrotu męża pojechałam z nim do Stanisławowa do kuzynki Ludwiki Boguckiej. W kilka dni potem zaszła konieczność rezygnacji z mieszkania, gdyż kuzynka powróciła do Woronowa z teściem, który po nią przyjechał. Wraz z mężem planowali wyjechać do Lwowa i tam go ukryć u krewnych. Stało się inaczej. Gdy jechaliśmy furmanką, w Tyśmienicy zatrzymali wóz ukraińscy milicjanci. Jeden z nich poznał męża i pomimo próśb pod groźbą karabinu poprowadzili do miejscowego NKWD. Jeszcze w tym samym dniu enkawudziści przewieźli męża z Tyśmienicy do Tłumacza jako miasta powiatowego. Zaraz gdy tylko dowiedziałam się, że mąż znajduje się w więzieniu tłumackim, starałam się o widzenie z nim. Po trzech dniach udało mi się zanieść żywności tyle, żeby i współwięźniom starczyło. Wyszedł załamany. Ze względu na stojącego obok enkawudzistę nic nie mówił, tylko na moje pytania odpowiadał: tak być musiało. Po kilkutygodniowym pobycie w Tłumaczu nagle „wyjechał”! W końcu dowiedziałam się, że wywieziono go do Stanisławowa. W Stanisławowie jeden raz udało mi się z nim zobaczyć w więzieniu. Był

ubrany tylko w bieliznę, jak i inni aresztowani. To był ostatni raz, gdy widziałam się z moim mężem, Stanisławem Johnsonem. Płakał. Ostatnie jego słowa: „Tak musiało być” zakończyło widzenie. Nic więcej nie powiedział. Kilkakrotnie jeździłam do Stanisławowa, ale nie udało mi się z nim zobaczyć. „Wybył” – tylko te słowa mogłam usłyszeć. Opierając się na poszlakach należy sądzić, że został wysłany do Katynia.

Nadszedł luty 1940 r. i nastąpił pierwszy wywóz osadników wojskowych na Sybir, a potem wywóz rodzin policyjnych. Przewidując, że w każdej chwili i mnie z rodziną może to spotkać, część rzeczy wywoziłam do rodziny na wieś, a to co konieczne przygotowałam sobie na zesłanie. W kilka dni później o drugiej godzinie w nocy słyszę pukanie do okna. Wystraszona otwieram drzwi, spodziewając się najgorszego, gdy zobaczyłam naczelnika stacji kolejowej w Tłumaczu (mieszkaliśmy tuż przy stacji), odetchnęłam swobodniej, był to pan Olejnicki. – Niech pani natychmiast się ubiera i ucieka. Przyszły właśnie wagony z kominkami na wywóz rodzin policyjnych i urzędników państwowych. Zaraz mogą przyjść po panią. Powiedziawszy to szybko się oddalił oglądając się ukradkiem.

Dwoje młodszych dzieci, Romusia i Henia zostawiłam u sąsiada, Żyda, p. Mandla, a starszego, Janka, wysłałam do kuzynów, p. Morskich, na drugi koniec miasta. Sama udałam się na przedmieście Tłumacza, tzw. „Chatki”, do dobrej znajomej, p. Tymoszowej. Była noc, więc udało mi się niepostrzeżenie dotrzeć do niej, gdy zapukałam, zaraz mnie wpuściła do mieszkania. – Będą wywozić na Sybir – mówię do niej, czy ukryje mnie pani na kilka dni? Ależ oczywiście, może pani tu zostać. Na drugi dzień około godziny 2-giej po południu idą: Żyd, dwóch Ukraińców i dwóch Rosjan z karabinami. Gdy to zauważyliśmy, pani Tymoszowa zaprowadziła mnie do pierwszego pokoju, kazała położyć się na łóżku przy ścianie, nakryła z głową i położyła kota na wierzch. Za tym pokojem był drugi i trzeci. Weszli buńczucznie do pierwszego pokoju, spojrzeli na kota śpiącego na łóżku, poszli do drugiego i do trzeciego. W trzecim pokoju mieszkał syn p. Tymoszowej z żoną. Przyjechali z Węgier na wakacje do matki do Polski. Wojna ich zaskoczyła w Tłumaczu i na razie tu zostali, byli nauczycielami na Węgrzech. Gdy zobaczyli synową, natychmiast ją aresztowali, gdyż była bardzo do mnie podobna i wzięli ją za mnie. Dopiero interwencja syna p. Tymoszowej, że ta pani jest jego żoną, Węgierką i pokazał paszporty ich, z ociąganiem zrezygnowali i puścili ją.

Miało się już ku wieczorowi. Ulice opustoszały, więc postanowiłam dalej uciekać, bo wiedziałam, że znów mogą przyjść i szukać mnie, bo tak robili. Zrobiło się ciemno, była godz. 6.00 wieczór, gdy wyszłam kierując się na Kolińce. Idę ulicą Koliniecką i tak bardzo płaczę, że prawie nic nie widzę. Nagle podnosząc głowę zobaczyłam dwóch żołnierzy ruskich, stojących nad rzeką w Kolińcach. Zmartwiałam. Jeden z nich odzywa się do mnie. – Czoho ty płaczesz?, a ja mówię, że wyszłam za mąż za Ruskiego, a on zostawił mnie i wyjechał, a ja chodziłam się pytać, czy go tu nie ma. Oni zaczęli się śmiać, a ja płaczę. Jeden z nich śmiejąc się mówi: „oj, durak z ciebia, durak!” To ty nie wiesz, że wojenny dzisiaj tu, a jutro gdzie indziej! Śmiejąc się dalej, puścili mnie. Dochodząc do Tamawicy zobaczyłam stojącego na mostku nauczyciela, jak później się okazało. Zobaczywszy mnie powiedział: pewno ty jedna z tych nieszczęśliwych, której udało się uciec z transportu. Niech pani pozwoli do nas. Przyprowadził mnie do swego domu, gdzie zostałam przyjęta bardzo serdecznie. W czasie rozmowy pytam: jest pan nauczycielem, to

może zna pan mego stryja Jana Pawłowicza, który jest sekretarzem „Ogniska Nauczycielskiego” w Tłumaczu? – Ależ oczywiście, znam go bardzo dobrze. Dziś pani u nas przenocuje, a rano, jak pani planowała, uda się do Otyunii. Na drugi dzień zmieszałam się z babami idącymi na targ i razem szłyśmy do Otyunii. Tam skierowałam się do kuzynki Marii Moniakównej. Wchodzę do domu, a kuzynka, jak mnie zobaczyła, wystraszyła się i ręką odepchnęła od drzwi. Wewnątrz było pełno Ruskich. – NKWD, którzy zajmowali się wywozem Polaków na Sybir. Skierowałam się do stajni i tam siedziałam trzy dni i trzy noce. Czwartego dnia przychodzi kuzynka i mówi: chodź do mieszkania, przyszedł twój ojciec z Gruszki, powiada, że chcą aresztować mamę zamiast ciebie i wywieźć na Sybir. Myślę sobie, jestem młoda, to łatwiej przetrzymam te nieszczęścia niż stara moja matka. Popłakaliśmy się wszyscy, a Marysia mówi: żegnam się z tobą, jakbym na śmierć cię wysyłała. Wracamy do Tłumacza. Jesteśmy na ulicy Kolinieckiej. Przypomniłam sobie, że tu mieszka dobra znajoma, p. Antonina Szymkowa. Wstąpiliśmy do niej i tam naradziliśmy się, co robić dalej. Wysłałiśmy ojca mego, by wysłał telegramy do Stanisławowa i Lwowa z zapytaniem, czy ja gdzieś tam się znajduję. Odpowiedź oczywiście była negatywna. W związku z tym, poprosiłam ojca, by zgłosił się z telegramami otrzymanymi na NKWD, pokazał je i oznajmił, że mnie nigdzie nie ma, więc na pewno złapano mnie i wywieziono. Po tym oświadczeniu ojca, kazano mu natychmiast dom opuścić, który przeznaczono dla ruskiego burmistrza Czabatorowa. Wyrzuconymi z domu zajął się zaraz sąsiad, Żyd, p. Mandel zabierając na noc do siebie. Na drugi dzień mama z dziećmi udała się do wsi Gruszka, gdzie posiadała gospodarstwo.

Ja natomiast dwa dni przesiedziałam, a raczej przeleżałam ukryta w łóżku u p. Szymkowej. Niestety szczupłość mieszkania nie pozwoliła na dłuższy pobyt u niej. Na trzeci dzień udałam się przez drogę do stodoły jej sąsiada Ukraińca Nykoły. Mróz był wielki, ponad -32 st. C. Przenocowałam w stodole dwie noce. Wreszcie postanowiłam dostać się do Gruszki, do rodziców. Nocą wyszłam i ogrodami dotarłam do rzeczki Tłumaczyk. Gdy ją przechodziłam, nagle w tym miejscu lód się załamał i po pas wpadłam do wody. Z trudnością wydostałam się na brzeg cała mokra. Całe odzienie natychmiast zlodowaciało. Trzęsąc się z zimna i chrzęszcząc lodem przez Kuropiecki udałam się do Gruszki. Wyszłam z Tłumacza gdy zaczęło świtać, a do Gruszki dotarłam za dnia. U ojca przy kuźni już był ruch, więc obeszałam ogrodem i dostałam się do stajni. Tam zastałam brata Józia, który przyniósł mi suche odzienie i położyłam się w słomie w stajni ciepło okryta. Ze względu na dzieci i ciągle kręcących się ludzi do mieszkania obawiałam się wejść. Po trzech dniach doszliśmy do wniosku, że niebezpiecznie byłoby dłużej tu przebywać. Ojciec omijając Tłumacz, przez Jackówkę zawiózł mnie do Pałahicz na stację kolejową i pociągiem już dojechałam do Stanisławowa. Zatrzymałam się tam u kuzyna Martynowicza, a następnie przeniosłam się do kuzynki na Górkę p. Sokółowskiej. Tam dowiedziałam się, że jest możliwość wyjechania za San pod okupację niemiecką, ale trzeba mieć jakieś dokumenty. Nie zastanawiając się długo pojechałam do Lwowa i tam zatrzymałam się u siostry męża Janiny. Mówię jej, że dowiedziałam się o istnieniu we Lwowie Komisji zajmującej się wyjazdem w tamte strony oraz łączeniem rodzin. Janka potwierdziła tę wiadomość i dała mi świadectwo szkolne zmarłej siostry Anny Johnson. Dopisaliśmy tylko imię „Maria” i dokument był gotowy, bo wiek był podobny. Udałam się na

tę Komisję i mówię, że mieszkam w Katowicach, a tu na wschodzie byłam na wakacjach u rodziny, gdzie zastała mnie wojna i chcę wrócić do domu, a mam tylko swoje świadectwo szkolne. Prowadzący te sprawy Polak obejrzał świadectwo (ja wyglądałam młodo) i mówi: dobrze, proszę jechać. Pojechałam. W Przeworsku przesiadłam się na pociąg odchodzący do Leżajska – tam miałam rodzinę, ciocię Turewicz i wujka Stefana. Po przyjeździe wyszłam ze stacji i zaczęłam doróżkarza: czy wie pan gdzie tu jest ulica Tomaska Michałka? Tak wiem, ja zawiozę panią, niech pani siada. Zawiózł mnie pod dom p. Turewiczów, bo też ich znał. Zapłaciłam złotówkami polskimi, które chętnie wziął. Weszłam trochę zdenerwowana na podwórze i spotykam żonę Stefana (mego ojca cioteczny brat) i mówię, że jestem córką Bernarda Pawłowicza, a wujek Stefan w zeszłym roku (1938 r.) był u nas. Wiem, wiem, Stefek mi opowiadał o was. Rozplakała się i mówi, że zawieźli męża do szpitala do Rzeszowa, zachorował bowiem na serce. Na drugi dzień po moim przyjeździe do Leżajska otrzymuje ciocia wiadomość o śmierci męża. O rozpaczy jej nie da się opowiedzieć. Nie była w stanie niczym się zająć i tak wszystkie troski o dom, o rodzinę spadły na mnie. Dostałam pracę w jajczarni i często dostawałam „stłuczki”, które wzbogacały menu w domu. Jednocześnie intensywnie uczyłam się języka niemieckiego, który wkrótce dość dobrze opanowałam. Byłam tam 2 lata. Część domu p. Turewiczów (duża willa) zajął sztab niemiecki i radiostacja. Otóż pewnego dnia wychodzi z pokoju podniecony żołnierz i pyta czy ja słyszałam coś nowego? Odpowiadam zgodnie z prawdą, że nie. Otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale zmilczał i wycofał się do pokoju. Po 10-ciu minutach znów wyszedł. Nie wytrzymał i powiada: idziemy na front! Na Ruskich! Dlatego powiedział mi bo wszyscy wiedzieli, że na Wschodzie zostały dzieci moje i rodzice, a oto nadarza się okazja, że po dwóch latach będę mogła ich zobaczyć. Stanęły mi łzy w oczach i powiedziałam: Bogu niech będą dzięki! Zobaczę dzieci. Front ruszył. W Leżajsku były duże zapasy siana prasowanego w kostkach, które teraz ładowano do wagonów i wysyłano za końmi na front. Wiedziałam, że i ja niedługo wyruszę w drogę powrotną do Tłumacza. Udałam się do gminy by postarać się o zapomogę. Zarejestrowałam się. Przyznano mi 20 zł zapomogi. W kilka tygodni później otrzymuję wezwanie na wyjazd do Niemiec na przymusowe roboty jako osoba samotna, bezdomna, korzystająca z państwowej zapomogi. Ja, która chciałam jechać na wschód, do domu, teraz mam się udać na zachód, na przymusowe roboty. Wyjazd miał nastąpić nazajutrz. Wracalam zrozpaczona do domu, gdy ujrzałam przypadkowo poznanego policjanta jadącego rowerem, który był zorientowany w moich życiowych tragediach. Myślę, zaczepię go, ale co on może mi pomóc? Wtem zatrzymał się, bo spadł mu łańcuch z roweru. Podchodzę do niego i pytam się czy wie o której godzinie odchodzi jutro transport do Niemiec. A po co to pani? – zapytał zdziwiony. Dostałam wezwanie i ausweis na wyjazd. – Niech mi pani to da! – zażądał. Dałam mu, a on powrócił na posterunek i zadzwonił do Rzeszowa do Arbeitsamtu i powiada, że tu jest jedna osoba, której męża rozstrzelali bolszewicy, a ona musiała dzieci zostawić i uciekać tutaj, by ocalić życie bo ją na Sybir chcieli wywieźć, a wy ją chcecie wysłać na przymusowe roboty do Niemiec? Ona chce wrócić na wschód, do dzieci! Arbeiter po wysłuchaniu mnie wyraził zgodę na skreślenie z lity wywózki i telefonicznie przekazał na posterunek swoją decyzję o wydanie nowego ausweisu! – Niech pani spokojnie wraca do domu, ja jutro przyjdę do

pani, dobrze. Zgodziłam się i już szczęśliwa wyszłam. Nazajutrz wyrzałam na drogę i widzę jak idzie mój stryjek Jan Pawłowicz by się ze mną pożegnać przed moim wyjazdem do Niemiec, a wraz z nim idzie ten policjant. Gdy podeszli do mnie policjant mówi: niech się pani pakuje, pojedzie pani... ale na wschód! To był jeden z piękniejszych dni w moim życiu. Już bez stresów pracowałam i tak przeszła jesień, zima i wiosna. Wojna trwała nadal. Zastanawiałam się, czy poczta już funkcjonuje normalnie i czy będę mogła przesłać wiadomość o sobie rodzicom, którzy na pewno bardzo się niepokojili o mnie, nie wiedząc nawet czy żyję. Postanowiłam napisać kartkę do Fedora Krzyżanowskiego (Kryżaniwskij), sąsiada rodziców w Gruszce, aby w ten sposób dać znać o sobie. Wysłałam kartkę tej treści: „Fedorze czyście zdrowi i wasza rodzina, co słyhać u was” itp., a pod spodem: „Czy Pawłowicz zdrowy i dzieci i podpisałam się „Jasio”. Kartka pisana była po rusku, a na końcu, już po polsku, napisałam: „O mnie nie martwcie się, ja czuję się dobrze i robię na drutach”. Wiedziałam, że Fedor czytać nie umie i z kartką przyjdzie do mego ojca i tak się stało. Czytając kartkę ojciec rozplakał się. Domyślił się kto był autorem tej kartki. Fedor natomiast był bardzo zadowolony gdyż myślał, że napisał do niego Jan Pawłowicz, który był kierownikiem szkoły powszechnej w Pałahiczach przed wojną, że pamiętał o nim. Oczywiście dopisku polskiego uznał ojciec, że nie musi mu tłumaczyć. W jakiś czas później opowiedział żonie, wnukom, że żyję i może niedługo wrócę do domu. Czas powoli upływał. Nadeszła jesień. Zaistniała już możliwość wyjazdu do Lwowa. W Leżajsku poznałam Polaka, leśniczego jakiś czas temu i spotkawszy go przypadkiem powiedziałam mu o moim pragnieniu dostania się do Lwowa. Myślę, że jak dostanę się do Lwowa to z dostaniem się do Stanisławowa nie będę miała większych problemów. A on mi na to: ja pani dam samochód i dokąd pani dojedzie? Chciałabym do Jarosławia, bo mam tam ciocię, a z tamtąd będę szukała możliwości dojechania do Lwowa. Dobrze – powiedział – samochód po panią przyjedzie więc proszę być przygotowaną. Słowa dotrzymał. Przyjechał samochód ciężarowy załadowany drzewem po ciętym w metry. Ciocia Turewiczowa ucieszyła się wielce z otrzymanego darmowego na opał drzewa, natomiast rozplakała się na myśl o rozstaniu się ze mną. Kto wie czy nie na zawsze. Tymczasem mieszkańcy ulicy Tomasza Michałka w Leżajsku, przekonani, że rodzina Turwiczów ma być wywieziona, pochowali się i ani jednej osoby nie było widać. O tym dowiedziałam się znacznie później z listu cioci. Przyjechalismy do Jarosławia wieczorem. Na drugi dzień pan leśniczy poszedł na rozeznanie pomiędzy wojsko niemieckie i przyniósł wiadomość o możliwości zabrania się do Lwowa samochodem z wojskiem, które z urlopu wraca na front drogą przez Lwów. Skorzystałam z grzeczności kierowcy i wraz z żołnierzami ruszyłam na wschód do DOMU. Przed Lwowem zostaliśmy zatrzymani przez żandarmerię wojskową do kontroli. – Co wiesz – zapytał kierowcę żandarm. – Jak to co? Wiozę żołnierzy z urlopu na front. Proszę zobaczyć. Gdy to usłyszeli żołnierze jadący ze mną nakryli mnie szynelami i udawali drzemkę. Żandarm zajrzał do wewnątrz, odwrócił się do kierowcy i powiedział: jechać dalej! Do Lwowa dotarliśmy już bez przygód. Tam zatrzymałam się u babci, która jeszcze wtedy żyła. Bardzo ucieszyła się ze spotkania, aż się popłakała. Mieszkanie było duże, więc mogli tam przenocować żołnierze, którzy mnie przywieźli. Żołnierze dziękując za nocleg oznajmili, że dalej jadą przez Tarnopol. Babcia poradziła mi jechać z nimi, gdyż tam mieszka Janka (siostra mego

męża) więc możesz się tam zatrzymać i znaleźć okazję powrotu do Tłumacza, bo bliżej stamtąd niż ze Lwowa. Posłuchałam rady babci i pojechałam z żołnierzami do Tarnopola. Na trasie wszystkie mosty były zerwane i nie zdążono je naprawić. Wsiadłam w rynku, gdzie zatrzymał się samochód i skierowałam się pod wskazany przez babcię adres. Siostra męża – Janina, przyjęła mnie bardzo gościnnie. Byłam u niej trzy dni, do chwili, gdy nadarzyła się okazja wyjazdu do Buczacza. Myślę sobie, że trzeba ją wykorzystać, bo zawsze to bliżej do Tłumacza, a na razie do Nowosiółki, chyba w powiecie koropiectkim, gdzie mieszkała rodzina mojej matki. Po przyjeździe do Buczacza, na rynku wysiadłam z samochodu i pytam się pierwszego napotkanego człowieka, jak mogę dostać się do Nowosiółki. Stojący obok niego chłop słysząc rozmowę podchodzi i powiada: ja znam drogę i poprowadzę. Ciocia, a raczej wujenka, przyjęła mnie serdecznie, bardzo wzruszona niespodziewanym spotkaniem. Teraz rozchorowałam się na stawy. Reumatyzm nie pozwolił mi na dalszą podróż pieszo. Wujenka wtedy zaproponowała, że pójdzie do Gruszki i zawiadomi mego ojca o moim położeniu i powrocie. Zgodziłam się chętnie, nie wiedząc jak mam dziękować. Ojciec przyjechał za dwa dni, przy okazji zabrał dla wujenki worek pszenicy. Gdy wracaliśmy następnego dnia ojciec powiada: rozmawiajmy po rusku, bo teraz Polakom podróżować bardzo niebezpiecznie przez ukraińskie wsie. Zaczęła się tragedia kresowa dla narodu polskiego. Na szczęście bez większych kłopotów już nocą dotarliśmy do Gruszki. Wchodzę do pokoju, dzieci śpią. Mama budzi je i mówi do Romusi – popatrz Romusiu, mamcia przyjechała. Popatrzyła na mnie – to nie jest moja mamusia, to jakaś ciocia w chustce. – Roma nigdy mnie nie widziała w chustce. Dopiero gdy się zebrałam radości nie było końca. Każde dziecko tuliło się do mnie, całowało, a ja ze szczęścia miałam oczy pełne łez. Miłość moich dzieci wynagrodziła mi wszystkie trudy i cierpie-

nia, które przeszedłam. Nazajutrz poprosiłam ojca, by udał się do znajomego, który pracował w sądzie, aby wystosował pismo do zamieszkującego nasz dom w Tłumaczu p. Szywała, w którym nakazuje mu opuszczenie domu ze względu na powrót właścicielki. Przed wprowadzeniem się cały dom wysprzątałam i pobieliłam. Dom był gotów na nasze przyjęcie. Po wprowadzeniu się było nam bardzo ciężko. Dużo pomógł mi Jan Marski, mój kuzyn, jak również znajomi Ukraińcy z ulicy Kolinieckiej i p. Szymkowa.

Nadszedł rok 1945 i zakończenie wojny. Zaczęliśmy się przygotowywać do wyjazdu na Zachód. Ponaglały nas wieści o napadach band ukraińskich na polskie domy i mordowanie Polaków. W Oleszy została zamordowana moja kuzynka z matką Jadwiga Pawłowicz, która była tam nauczycielką, a jej ojciec kierownikiem szkoły w Pałahiczach – Jan Pawłowicz.

Nadszedł dzień wyjazdu wyczekiwany z niecierpliwością, jak również z żalem i smutkiem. Pozostała jedynie nadzieja, że może jeszcze tu wrócimy.

Maria Johnson z d. Pawłowicz



Maria i Stanisław Johnson

Rodzicom

*Tak krótko szczęście małżeńskie trwało
Jak sen nocy letniej, jak zapach róż...
A miało trwać zawsze, tak się zdawało
W miasteczku Tłumacz, leżącym wśród wzgórz.
I przysłała wojna. Zniszczyła marzenia
O śmierć i męczarnie postarał się wróg
Nie miał litości ani sumienia
Niech mu przebaczy nasz dobry Bóg.
Nie szczeniło Wam życie ni łez ni cierpienia
Po krótkim czasie zabrakło już łez
Często z nadziei człek wpadał w zwątpienia
I prosił Boga by nastąpił kres.
Ojcze! Za służbę Polsce Ciebie zabito!
Matko! Tyś miała dzieci, musiałaś żyć!
Gdy powstała Polska byle czym Cię zbyto
Bo tylko w czasie wojny mogłaś o Niej śnić!
Dziś Wasze dzieci składają Wam dzięki
Za szczęście rodzinne, za wpajanie cnót
Ho!d Wam składamy, za przeżyte męki,
Za miłość do nas, za troskę i Wasz trud.*

W ho!dzie Rodzicom
Stanisławowi i Marii Johnson
składają
Romana i Jan Johnson
Nysa 24.01.2001 r.



Maria, Romana, Henryk i Jan Johnsonowie

Dokumenty Stanisława Johnsona



37

P o t w i e r d z a n i e .

/odbioru legitymacji/

Stwierdzam, że otrzymałem legitymację urzędową
nr wzoru Nr. 46 wydaną przez Komendę Wojewódzką P.P.
w Stanisławowie dla Stanisława Johnsona
datowaną dniami 19.2.1937 r. i opatrzoną numerem
1300

Tłumacz dnia 20.2.1937 r.

Stanisław Johnson
P o d p i s

Związek Byłych Ochotników
Armii Polskiej
- Oddział w Tłumaczu -

Z a s w i a d c z e n i e .

P. Stanisław Johnson ur. 19.VII.1901 r. we Lwowie, religii rzymsko-kat., narodowości polskiej jest członkiem Związku B. Ochotników Armii Polskiej; Oddział w Tłumaczu od chwili jego zakończenia; brał on udział w Obronie Lwowa, a następnie od dnia 3.XII.1918 r. służył jako ochotnik w 40 p.p. 1^o Oddziałach Ochot. Jedy maj. Abrahama którego wzięto do niewoli w czasie najeźdu bolszewickiego, bierząc udział tak w kampanii wojennej polsko-ukraińskiej jak i bolszewickiej, do dnia 27.XI.1920 r.
Posiada odznaczenia: Kosaćka Pamiątkowy za wojnę 1918/1921, Krzyż Niepodległości Armii Ochotniczej i "Orłata" a sprawa nadania mu "Krzyża Niepodległości" znajduje się obecnie w toku załatwienia w Kapituła Krzyża i Medalu Niepodległości w Warszawie.
Powyższe zaświadczenie wydaje się stronie w celu ubiegania się o nabycie ziemi z parcelacji.



Tłumacz, dnia 26.VIII.1938 r.
Znacząca do użytku:
Mateusz Wolowicki
/Mateusz Wolowicki ochotnicy R.P.
w ot. spr.

WOJEWÓDZTWO STANISŁAWOWSKIE
KOMENDANT WOJEWÓDZKI POLICJI PAŃSTWOWEJ
W STANISŁAWOWIE.

Nr:5014/29.

Do Pana

Stanisława J O H N S O N A, posterunkowego

Policji Państwowej

w T Ł U M A C Z U

Na podstawie § 6. rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 27. września 1928 roku (Monitor Polski Nr 237, poz. 543) i zarządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 30. stycznia 1929 r. za Nr OP. 6314,12-R/29, przyznaje Panu prawo do Medalu Dziesięciolecia Odsyskanej Niepodległości.

Stanisławów, dnia 29 kwietnia 1929 r.



p. o. Komendanta Wojew. P. P.

Stanisław Johnson
(-) 51000

Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)

Na zesłaniu

Pomieszczenia dla mężczyzn były to głębokie wykopy w ziemi. Powąta była z drzewa przykryta ziemią. Wykopy leżały do siebie równolegle i wyglądało to jak kopce z ziemniakami. Od czoła wykopu wąskie schodki prowadziły do małej sionki z której wchodziło się do wykopu. Po obu stronach były drewniane prycze, a w środku korytarz. Na przeciwnej ścianie od wyjścia było maleńkie okienko. W połowie korytarzyka był piecyk żelazny opalany węglem i blaszany kubeł. Na suficie jedna żarówka elektryczna. Do takiej ziemianki wchodziło 20 więźniów. Stanowiła ona ich dom i rodzinę. Zahuczała syrena, którą nazywano „hudok” i zaczęli się schodzić więźniowie i więźniarki. Więźniarki z łopatami, a więźniowie przeważnie z kilofami, odgartywali śnieg i oczyszczali przepusty na wodę. Ustawiali się grupkami, tak jak zajmowali baraki, a potem komendant ziemianki meldował stan mieszkańców ziemianki. Przechodziłem wzdłuż szeregu i pytałem się czy nie ma wśród nich Polaków? Z jednej grupy wystąpił mężczyzna i powiedział głośno „ja jestem Polakiem”. Podeszedłem do niego i zapytałem, czy nie udałoby się, abym zamieszkał w jego ziemiance? Kiedy mu pokrótce powiedziałem kim jestem, rzekł: „Proszę tu zostać, a ja to załatwię”. Zbiórka się skończyła, a ja czekałem na tym samym miejscu. Po dłuższej chwili czekania, a było już ciemno, nadszedł więzień i powiedział: „Załatwiłem wszystko, idzie pan do mojej ziemianki, a nawet więzień, który obok mnie kwateruje, przeniesie się na inną pryczę, a pan ją zajmie. Ale jeszcze się nie zaznajomiliśmy. Jestem Marian Pomianowski z Baranowicz. Resztę opowiemy sobie w wolnej chwili. Proszę za mną”. Weszliśmy do ziemianki, w której krzątali się już więźniowie. Jedni leżeli na swoich pryczach, inni stojąc rozmawiali. Powiedziałem zwracając się do wszystkich: „zdrastwójt”. Na co mi odpowiedziano tym samym pozdrowieniem, tylko jeden z prawej strony koło drzwi powiedział: „z przyjezdom”. Nie wiedziałem, że to jest rodzaj powitania i nie odpowiedziałem nic. Pomianowski zajmował pierwszą pryczę z lewej strony koło drzwi; następną zająłem ja. Z pryczy tej na prośbę Pomianowskiego usunął się inny więzień, który nawet przeniósł się do innej ziemianki, w której miał przyjaciela. Pomianowski pokrótce opowiedział mi o swoim aresztowaniu w Baranowiczach, gdzie miał warsztat, w którym wyrabiał bryczki i powozy. Był zamożnym człowiekiem, tylko prowadził kampanię przeciw Żydom. Nic w sklepach żydowskich nie kupował i wszystkich znajomych w tym kierunku agitował. Po wejściu Sowieców został jeden z pierwszych aresztowany. Na dzisiaj przerwaliśmy pogadankę, gdyż pora była późna i trzeba było spać. Rozmieściłem się na sąsiedniej pryczy, na której był tylko siennik. Miałem dwa własne koce i półkożuszek. Jeden koc poszedł na siennik, półkożuszek pod głowę, a drugim kocem nakryłem się. Wkrótce zasnąłem tak jak wszyscy mieszkańcy ziemianki. Rano obudziła

mnie syrena, zebrałem się szybko, umyłem i wraz z całą załogą ziemianki poszedłem do kuchni, bo tam wydawano herbatę i chleb. Chleb wziąłem, a herbatę nie miałem w co wlać. Wszyscy więźniowie mieli puszki blaszane z kabłąkiem drucianym tzw. „kotłok”. Ja takiego kotłoka nie miałem. Jeden z więźniów podeszedł do mnie i powiada: „śniadanie przepadło, a co będzie z obiadem”. Odpowiedziałem, że nie wiem. Na to on: „Ja mam dwa kociołki, jeden z nich pożyczę ci na miesiąc, ale po miesiącu musisz oddać bez względu na to czy będziesz miał kociołek, czy nie”. Podziękowałem mu i obiecałem, że za miesiąc zwrócę, po czym on dał mi kociołek. Po śniadaniu stanęliśmy na placu apelowym. Tu rozdawano robotę. Przychodzili rozmaici specjaliści czy brygadziści i zabierali ludzi do rozmaitych robót. Mnie i więźnia, z którym wczoraj przyjechałem, przydzielono do robienia porządku koło budynku administracyjnego. Dano nam łopaty i kazano śnieg odrzucać. Mój towarzysz był młodym, silnym chłopcem chętnym do pogadanki. Zawód jego, jak mi wtedy objaśnił, to szofer. Ponieważ ja znałem się na tym, zaczęliśmy rozmawiać o samochodach, ale trzeba było wziąć się do pracy. Mnie ta praca szła bardzo opornie, męczyłem się po kilku wyrzutach łopatą. Musiałem przerywać i ciężko dyszałem. Mój kierowca popatrzył na mnie – powiada: „brośto, to nie dla ciebie taka robota, nie masz siły. Ja za ciebie zrobię, a ty opowiadaj o zagranicznych samochodach”. Przemysł samochodowy był wówczas słabo rozwinięty i robiono przeważnie ciężarówki dla celów wojskowych. Zacząłem mu opowiadać o Fordzie, Tatrze, DKW i innych. O Fordzie wiedział dosyć dużo. Zainteresowała go DKW. Musiałem mu wyłożyć, że to mały wóz dwucylindrowy, dwutaktowy, bardzo przyjemny w prowadzeniu. Najbardziej jednak zainteresowała go mała, dwucylindrowa, czeska Tatra. Dziwił go układ poziomy cylindrów o żeberkach jak u motocykli, chłodzonych powietrzem, a przy tym 4-taktowy. Ja opowiadałem, a on robił; od czasu do czasu włączałem się do pracy i pomagałem o ile mogłem. Przed południem przyszedł rozprowadzający i uznał, że zrobiliśmy dużo. Na obiad poszedłem już z kociołkiem, do którego wziąłem zupę, a do miseczki dostaliśmy kaszę jaglaną z łyżeczką oleju słonecznikowego. Ten cały obiad był szybko skonsumowany, po czym poszliśmy jeszcze na odpoczynek do ziemianki. Znowu zahuczała syrena i wszyscy poszli do swoich poprzednich zajęć. Spotkałem się znów z moim sympatycznym kierowcą, który był z innej ziemianki, aniżeli ja. Do wieczora, tak jak rano, on więcej robił, a ja opowiadałem. Na kolację była zupa, którą jedliśmy z chlebem otrzymanym rano, oczywiście jeżeli jeszcze nie był zjedzony. Wieczorem przed snaniem krótka pogawędka z Pomianowskim. Otóż Pomianowski mówił świetnie po rosyjsku, gdyż był urodzony na terytorium Rosji za czasów carskich. A że był człowiekiem mądrym, przydzielono go do cieplarni, gdzie miał opiekować się roślinami i pro-

wadzić zapiski. Miał przydzielonych dwoje ludzi, którzy mieli palić w piecu, dostarczać wody do podlewania i sprzątać. On sam niewiele miał tam do roboty. Przed południem pracował dwie godziny i po południu także dwie godziny. Resztę czasu spędzał na jakimś pisaniu, a czasami po prostu spał. Rośliny hodowane w cieplarni to nie były żadne kwiaty, ani warzywa, ale rozmaite gatunki zbóż poddawane rozmaitym sposobom nawożenia mineralnego. Te dawki, jak też temperaturę i wilgotność, spisywał Pomianowski do dziennika. Ponieważ ogromnie mnie to interesowało, obiecał mi to wszystko pokazać, jeżeli znajdę chwilę wolną od pracy. Następnego dnia dostałem ten sam przydział pracy z tym samym towarzyszem. Teraz on mi opowiadał o czym się dowiedział w ciągu jednej doby. Otóż za naszymi ziemiankami była jeszcze jedna obszerna ziemianka podzielona na pół. W jednej połowie była izba chorych, a w drugiej apteczka i ambulatorium oraz małe pomieszczenie dla lekarki i pielęgniarki. Za tą ziemianką była jeszcze jedna, w której mieszkał zastępca komendanta obozu i felczer weterynarii. Zastępcą komendanta obozu był więzień, nazywał się Majboroda, człowiek młody, postawny i w doskonałej kondycji. Nie chodził z nami do stołówki, gdyż jadał w budynku administracyjnym, a tam korzystano z innej kuchni i innych potraw. Majboroda, jak głosiła plotka obozowa, trudnił się bandytyzmem mając pod swoją komendą kilku pomocników i po udowodnieniu mu tego zasądzono go na ciężkie roboty. Podobno nieduży miał wyrok, gdyż bandytyzm i inne przestępstwa kryminalne są łagodniej karane, aniżeli wyimaginowane przestępstwo polityczne. Takich informacji dostarczył mi mój towarzysz pracy. Była to druga połowa marca, zaczęło się ocieplać, śnieg szybko tajał i wody spływały do ścieków i rowów. Pomianowski poinformował mnie, że w obozie kołblecym jest dużo kobiet. Są żony oficerów, nauczycielki, panny, które podejrzewano o konspirację przeciw Sowiетom. Wśród nich były dwie siostry, jedna miała 16 lat, a druga 12 lat, po prostu dzieci. Artesztowano je razem z matką lekarzką, a potem matkę oddzielono od dzieci i wysłano w nieznanym kierunku. Po kilku dniach pobytu w obozie spotkałem dwie Polki: były to p. Kokulska i Bejzymówna. Powiedziały, że specjalnie mnie odszukały, aby się czegoś dowiedzieć. Może przebywałem z kimś z ich znajomych. Kokulska była nauczycielką, Bejzymówna pochodziła z tatarskiej rodziny zamieszkałej w Polsce. Jej stryjeczny dziadek ks. jezuita Bejzym wyjechał około 1898 roku na Madagaskar, aby się opiekować trędowatymi. Była to wówczas wielka sensacja, gdyż ks. Bejzym pochodził z bogatej rodziny i cały majątek swój oddał, aby ulżyć nieszczęśliwym trędowatym. Ks. Bejzym umarł na Madagaskarze. Obie panny zapytały mnie czy już napisałem do rodziny i zawiadomiłem o swoim miejscu pobytu. W owym czasie nie można było pisać do rodziny tak długo, jak długo nie otrzymało się wyroku. Dopiero po skazaniu wolno było jeden list miesięcznie wysłać. Kiedy powiedziałem, że nie pisałem bo nie miałem pieniędzy na znaczek, a po wtóre nie chciałem, aby NKWD dowie-

działo się o miejscu pobytu rodziny, poradziły mi, aby napisać do znajomych, a nie do żony i dały mi dwa znaczki na list. Pracowały tu w tym obozie już kilka miesięcy i za jakieś tam prace ponad normę otrzymywały zapłatę, z której mogły kupić znaczki. Zapłata ta była bardzo marna i otrzymywało się ją w wyjątkowych okolicznościach. Rozmowa nasza odbywała się w czasie przerwy obiadowej. O mnie dowiedziały się od Pomianowskiego, który wszystko co dotyczyło więźniów wiedział. Tymczasem coraz więcej się ocieplało, śnieg znikł i ziemia zaczęła wysychać. Kazachstan ma klimat kontynentalny, lato jest bardzo gorące, temperatura dochodzi do +40 stopni C., a w zimie do -40 st. C. Lato jest krótkie i upalne, a wiosna przychodzi gwałtownie i po kilku dniach cały step się zieleni. Trzeba bardzo szybko robić zasiewy, aby zboże zdążyło dojrzeć, tym bardziej ważny jest pośpiech, że ozimych zbóż się tu nie sieje. Ozimina nie przetrzymałaby tutaj mrozów, sieje się zatem zboża jare. Jedynie wyhodowano gatunek lucerny, który wytrzymuje te mrozy, ale daje rocznie tylko jeden pokos, a potem kosi się ją na bieżąco dla koni na zielono. Tutejszy klimat ma to do siebie, że w porze letniej nie ma tu żadnych opadów deszczowych, trzeba magazynować wilgoć ze śniegów. Śnieg w zimie jest pędzony burzami i wichurą, a więc są miejsca огоłocone ze śniegu, a zatem ziemia w tym miejscu nie miałaby wilgoci. Urządzają się tutaj w ten sposób, że w miejscach gdzie mają być uprawy zbożowe wtyka się w ziemię gałęzie karagadnika, jest to krzew, którego gałęzie sięgają 2 metrów. Te gałęzie wtyka się gęsto obok siebie w ziemię, co daje wygląd młodego lasu. Między tymi gałązkami zatrzymuje się śnieg i dostarcza wilgoci glebie. Na wiosnę wyjmuje się patyki, układa w stosy, a na ich miejsce sieje się zboże. Inny ciekawy jeszcze sposób zatrzymywania wody jest następujący: na wiosnę sadi się kukurydzę w rzędach oddalonych od siebie co 6 metrów, odwrotnie między tymi rzędami sieje się pszenicę jarą albo inne zboże, a w jesieni zbiera się najpierw zboże, a potem już kukurydza dojrzewa. Zrywa się kolby, a łodygi zostawia się aby przez zimę zatrzymywały śnieg. W Kazachstanie kukurydza rośnie do wysokości ponad 2 metrów, a łodygi są grube i mocne i gwarantują zatrzymywanie śniegów. Jestem rolnikiem i to zamiłowanym, każdy system czy sposób gospodarowania w specyficznych warunkach interesuje mnie i dlatego za długo może zatrzymuję się przy opisach gospodarowania. Tymczasem życie obozowe szło swoim trybem. Więzień po prawej stronie drzwi, który przywitał mnie po moim przybyciu, unikał mnie. Zapytałem go kiedyś wprost, co jest tego powodem, a on powiada na to: „jak wszedłeś do naszej ziemianki – przywitałem ciebie uprzejmie słowami – z przyjezdom – a ty nic, nawet nie mruknąłeś”. A ja na to: „nie znałem takiego powitania i nie wiedziałem co się na to odpowiada, jeżeli cię uraziłem – to przepraszam”. Więźniem tym był Ormianin, nazywał się Manuczarów. Ponieważ był piekarzem i siedział w tym łagrze już kilka lat, miał z naczalstwem dobre stosunki i w piekarni wypiekał dla nas chleb, a dla władzy bułeczki. Był

zagorzałym komunistą, tłumaczył mi, że to jest najsprawiedliwszy system i najpiękniejsza idea. Przyczyną nieszczęść są ludzie u steru, którzy te idee wypaczają. Opowiadał, że sam był burmistrzem jakiegoś miasteczka, jeździł powozem, ale jego sposób rządzenia komuś się nie spodobał i ot siedzi tutaj i jeszcze ma dużo do odsiedzenia. Napisałem list do pani Sokołowskiej po polsku, a Pomianowski przepisał go po rosyjsku. Pani Sokołowska, u której jakiś czas mieszkaliśmy, przekazała mój list żonie i sama napisała długi list, w którym doniosła mi, że jej córka Wartanowiczowa z dwojgiem dzieci deportowana została do Semipałatyńska i prosiła abym do niej napisał. W międzyczasie znowu zostałem wezwany do naczelnika i ten polecił mi, abym się zgłosił do koniuszego, a on mi przydzieli parę koni, którymi będę robił. Koniuszym był Niemiec, z niemieckiej Republiki Nadwołżańskiej. Niemcy w obozach swoją uniżonością wobec władz łagiernych potrafili zaskarbić sobie łaski i otrzymywali uprzywilejowane stanowiska. Koniuszy miał pomocnika ruskiego na którego większość pracy zwał. Do ich obowiązków należało wsypać koniom owies do żłobów 3 razy dziennie, w południe dodatkowo zarzucić wiązki suchej lucerny na parę koni, a wieczorem wiązki na każdego konia. Poza tym dwa razy dziennie pozamiatać stajnie. Nie było to wiele pracy, tak że po wyprowadzeniu koni do pracy mogli się wylegiwać i wysypiać. Koniuszy był chudy, średniego wzrostu człowiek z wąskimi zaciętymi ustami uprzykrzający życie swoim krzykiem przy byle sposobności. Zgłosiłem się do niego, zmierzył mnie krytycznym wzrokiem, przydzielił mi parę koni, z których jeden był gniady a drugi bułany. Gniady nazywał się Arkiuch, a drugi Bułan. Konie były raczej starsze, jeden miał 12 lat, a drugi 11. Średniej wielkości, dobrze zbudowane o szerokiej piersi, łagodne. Zapowiedział, żebym się wcześniej rano zgłosił, żeby się osobiście mógł przekonać jak je będę zaprzęgał. Opowiedziałem to wieczorem Pomianowskiemu, nie był tym zachwycony, gdyż to skracało mój wypoczynek, konie musiały być w uprzęży już przed apelem. Nie było zresztą apelacji, trzeba było wykonywać polecenie. Rano tuż po śniadaniu poszedłem do stajni, podszedłem do swoich koni. Do każdej z 15-stu par podeszło 14-stu furmanów. Na kołkach wbitych w słupy wisały chomonta. Koniuszy rozkazał ubierać konie. Chomonty rosyjskie różnią się od naszych tym, że kleszcze (?) są na piersi rozpinane i jak się narzuci poduszkę – łatwiej chomąt wchodzi, ale trzeba na piersiach kleszcze rzemieniem ściągnąć. Patrzyłem jak inni to robią, ale byłem niewprawy i robiłem to wolniej. Koniuszy podszedł i zaczął krzyczeć. Z początku nie zwracałem na to uwagi, ale jak nie przestawał zawołałem: „Was schrejen sie, das ist doch eine schande”. Koniuszy zgłupiał, przestał krzyczeć, wybałuszył na mnie oczy, podszedł, skontrolował jak uprzęż leży i polecił konie wyprowadzić na plac. Polecono mi je zaprzędz do bron. Brygadzysta, który mi tę czynność polecił, zaprowadził mnie gdzie bronie były złożone i powiedział: „zaprzęgnijcie a ja wam wytłumaczę, gdzie macie bronować”.

Łagier leżał na olbrzymim stepie. Z jednej strony łagru i z drugiej były dwie idealnie wytyczone drogi od wschodu na zachód, a prostopadle do tych dróg wymierzone doświadczalne pola wyznaczone od jeden do iluś tam. Kiedy konie były wprzęgnięte, polecił bronie odwrócić zębami do góry i pojechać na pole Nr 45 i rolę na wskos zabronować. Kiedy nie bardzo się w tym orientowałem, powiedział – że ponieważ jestem nowym – to mnie na miejsce odprowadzi. Wydał polecenie innym furmanom, którzy byli na dziś jemu przydzieleni i poszedł ze mną. Konie szły przed nami kierowane przeze mnie. Zaczął ze mną rozmowę i na początku powiedział abym się postarał o bat, bo inaczej normy tymi końmi nie wyrobię. Brygadzysta był to człowiek spokojny, w średnim wieku, nie wypytywał mnie o moje sprawy, raczej informował jak mam postępować, aby normę wykonać. Poletka oznaczone były wyraźnie tablicami z numerami porządkowymi, tak że łatwo się było w tym zorientować. Doszliśmy do mego poletka z zimową orką, zacząłem bronować na wskos. Nogi odwykły od chodzenia zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa, a za cisne trzewiki gniotły mnie niemiłosiernie. Jakoś dochodziłem do południa, a kiedy zabrzmiała syrena wyprzągłem konie z bron i poprowadziłem do obozu. Inni furmani młodszy, powracający ze swych poletek, powiadali na konie i dojechali prędzej ode mnie do obozu. Teraz dopiero zauważyłem przy bramie małe podwórko otoczone drutami, a wewnątrz beczki i mały domek. Był to magazyn paliwa, była tam ropa do Disla w naszej elektrowni, benzyna do naszego samochodu ciężarowego oraz smary i olej. W domku był kantorek w którym zapisywano rozchód i przychód. Magazynierem był chudy, wysoki starzec, który miał izdebkę przy magazynie. Był już człowiekiem wolnym po odbyciu 20-letniej katorgi. A było to tak: więzień ów przed kilku laty zakończył swój 20-letni wyrok, pojechał w swoje strony, a kiedy nie odnalazł nikogo z rodziny i bliskich znajomych, powrócił i złożył prośbę, aby mu pozwolono pozostać do śmierci w obozie. Prośbę uwzględniono i on żył na uboczu hodując króliki i pielęgnując kilka grządek. Nie przyjaźnił się z nikim. Przypomina to dzieje hr. Cosel, która zwolniona po śmierci króla Augusta II z więzienia w Kufsteinie, pozostała w nim do końca życia. Po południu wróciłem na moją działkę, nogi bolały mnie okropnie, spuchły i nie mieściły się już w trzewikach, wróciłem do domu w skarpetkach. Wieczorem Pomianowski zaprowadził mnie do magazynierki i przedstawił jej mój oplakany stan. Wydała mi parę łapci z łyka i parę onuc. Powiedziała, że przeprowadzi to formalnie kwitem następnego dnia, ale dodała, że nie będę miał pociechy z tych łapci, bo łyko jest zeschnięte i szybko się rozleca. Następnego dnia ubrałem łapcie, okazały się bardzo wygodne, ale do wieczora się rozleciały. Poszedłem do niej ponownie, a ona powiedziała: „ja to przewidziałam, a że w magazynie mam tylko 6 par – rozchodziłam je wszystkie, zabierajcie wszystkie”. Byłem szczęśliwy przez kilka dni, ale martwiłem się co będzie dalej. W obozach wydawano więźniom łapcie gumowe z przetartych opon samo-

chodowych. Była to ciężka i twarda imitacja łapci, ale mocna – nie do zdarcia. Pomianowski postarał się dla mnie o takie łapcie, trzeba było umieć nogi owinać onucami, aby nie przetrzeć skóry, szczególnie na pięcie. W moim przypadku, już pierwszego dnia wieczorem pięty krwawiły. Posyłano mnie do rozmaitych robót, wreszcie kazano mi zaprzężyć do kultywatora i kazano zradlić jedno poletko. Przyjechałem na dane poletko, a miałem już wtedy nahajkę, rzemień dostałem od koniuszego, a rączkę w warsztacie. Zacząłem radlić, nogi bolały mnie okropnie. Rozejrzałem się wokół, w pobliżu nie było nikogo, zebrałem trochę chwastów i łęt ziemniaczanych na miedzy, zrobiłem małą wiązkę, położyłem na kultywator, usiadłem na tym siedzeniu i wio. Konie miałem bardzo poczciwe, a jak miałem nahajkę to i chętne. Robota szła składnie, a ja tylko się rozglądałem czy ktoś nie nadchodzi. Zapomniałem napisać, że wszystkie roboty były normowane, kto nie wykonywał normy, temu obrywano chleb, a kto pracował ponad normę – otrzymywał po miesiącu zapłatę. Pracę sprawdzali tak zwani „normirowszczyki”. Praca ich polegała na tym, że od rana obchodzili stanowiska pracy. Każdy miał zeszyt,

ołówkę i zegarek, budzik blaszany powieszony na sznurku na szyi. Zatrzymywał się koło pracującego, patrzył na zegarek i przez 15 minut obserwował robotę, potem mierzył wykonaną pracę. Przed wieczorem obchodził jeszcze raz stanowiska, mierzył całość i obliczał za pomocą mnożenia czy robota została wykonana. Następnego dnia w biurze sprawdzano te liczby i na tablicy wywieszano kto i ile zrobił. Przy kultywacji wykonałem dzięki moim koniom pracę zawsze wysoko ponad normę. Nauczyłem się później, że rano podczas obchodu „normirowszczyka” – trzeba pracować jak najwolniej. Stosunki moje z koniusem Niemcem ułożyły się jak najlepiej, zaimponowałem mu umiejętnością języka niemieckiego i przestał się wydzierać a chętnie rozmawiał ze mną na uboczu. Ze starymi skazańcami miałem poprawne stosunki, wszyscy młodzi to przeważnie chuligani lubiący dokuczać – szczególnie starszym. Jeden z nich ze złośliwości nazwał mnie „panem”: „ej pan słuszaj”, a było to podczas apelu i wywołało u młodych wybuch śmiechu i od tego czasu młodzi, a potem i starsi wołali mnie „pan”. Nic sobie z tego nie robiłem i nawet nie zwracałem uwagi gdy mnie inaczej wołano. Zostałem „panem”. (c.d.n.)

„Album Pałahickie” Henryka Rodakowskiego (c.d.)

Wydanie: Muzeum Okręgowe w Gorzowie

Opracowanie: Małgorzata Kitowska

(C. d.) publikacji akwarel pt.: „Wójt Nykoła”, „Pobereźnik Gregorciu”, „Kuc Myszka”, „Chłopiec stajenny Jacio”.

Opisy obrazów: Władysław Kozicki (zachowano oryginalną pisownię)

„Album Pałahickie” trafił do gorzowskiego Muzeum Okręgowego na przełomie lat 1980/81. Stało się to po trosze przypadkiem. Ale też całe dzieje cyklu, z którym Henryk Rodakowski rozstał się jeszcze za swego życia, były dość burzliwe i nie dające się do końca wyjaśnić. Nieznane są losy kartonów od momentu przesłania ich w roku 1868 do Francji aż do lat międzywojennych, kiedy znalazły się w posiadaniu wnuczki artysty, Janiny Straszewskiej, mieszkającej w Biórkowie pod Krakowem. Jeszcze przed 1939 rokiem akwarele zmieniały właściciela. Wspomnienia dzieci Janiny Straszewskiej pozwoliły ustalić, że nowym posiadaczem cyklu został wtedy najprawdopodobniej jeden z krakowskich antykwariuszy, nazwiskiem Szancer. Tuż przed wybuchem II wojny światowej akwarele, nieznaną do dzisiaj drogą, przeszły w kolejne ręce. Znalazły się teraz w antykwariacie stołecznym, którego współwłaścicielem był Jan Żukotyński, posiadacz niedużego podwarszawskiego majątku. To właśnie poprzez jego osobę dzieło Rodakowskiego związane zostało z Gorzowem. Tutaj bowiem antykwariusz przybył po 1945 roku wraz ze swoją żoną, Franciszką, i tutaj się osiedlił.

Powyższy epizod z dziejów pałahickiego cyklu nie był jednak przez długi czas znany nikomu poza bezpośrednio zainteresowanymi, toteż w powojennym opracowaniu korespondencji malarza spotykamy informację, iż kartony zaginęły podczas wojennej zawieruchy, najprawdopodobniej w Krakowie. Wiadomość tę powtórzyły także pierwsze edycje albumowego wydawnictwa poświęcone twórczości Rodakowskiego, przygotowanego przez Andrzeja Ryszkiewicza. Dopiero kolejna – trzecia – wersja tejże publikacji z 1972 roku zawiera wprowadzone przez autora sprostowanie, dotyczące przechowywania cyklu akwareli w prywatnych rękach.

Tymczasem gorzowski etap historii kartonów Rodakowskiego był też zagadkowy. Do roku 1969 właściciele zbioru akwareli nie ujawnili swego stanu posiadania, toteż można bez przesady rzec, iż nikt nie wiedział o tym, że w Gorzowie znajduje się skarb tej klasy, dzieło jednego z najznakomitszych polskich malarzy, odznaczonego wielokrotnie na słynnych paryskich salonach.

W roku 1969 Włodzimierz Grabowski, miejscowy kolekcjoner, dowiedział się o fakcie przechowywania „Albumu Pałahickiego” w Gorzowie i natychmiast powiadomił o tym wnuka artysty, Henryka Woźniakowskiego zamieszkałego w Katowicach, który z kolei przekazał wiadomość Andrzejowi Ryszkiewiczowi, monografiście artysty. Andrzej Ryszkiewicz zdążył dokonać poprawki w przygotowywanym właśnie trzecim wydaniu albumowej monografii twórczości Henryka Rodakowskiego.

Tak dzieło malarza zostało odnalezione i odzyskane dla polskiej kultury.

Muzeum Okręgowe w Gorzowie nie ustawało w staraniach o pozyskanie cyklu do swoich zbiorów. Franciszka Żukotyńska, której mąż zmarł w roku 1954, początkowo nie chciała pozbywać się cennej własności. Uzyskano jedynie wpis do rejestru zabytków, aby chociaż w ten sposób ochronić dzieło przed niezgodnym z interesami polskiej kultury pokierowaniem jego losami. Dopiero latem roku 1980 udało się nakłonić właścicielkę, aby obiekt tak wielkiej wartości, który zresztą szczęśliwym zbiegiem okoliczności tylko co uniknął kradzieży, zdeponowała w miejscowym muzeum. To z kolei przyspieszyło decyzję Franciszki Żukotyńskiej co do sprzedaży całości. Transakcję sfinalizowano na przełomie lat 1980/81.



Wójt Nykoła 15.11.1867 (nr inw. MOG/II/2293)

A oto inny potentat wiejski. Tym razem już autochton, gdyż sam czcigodny pan wójt Nykoła. Artysta ukazał go na tle królestwa, którem władą: szerokimi, śmiałymi dotknięciami pędzla naszkicował rozległy falisty pejzaż z miniaturowymi, zaledwie tylko zaznaczonymi figurkami krów i ludzi, a na prawo fragment chaty, jakiejś na pół zawalanej obórki, tudzież studnię z żórawiem. Zwrócony w trzech czwartych w lewo, wójt rysuje się monumentalnie na tle wysokiego chmurnego nieba. Strój jego jest kombinacją lata i zimy; na ramionach kożuch z czarnego barana, odsłaniający długą zgrzebną koszulę, związaną pod szyją czerwoną harasówką i spiętą szerokim skórzanym pasem, u którego wisi klucz, może od kasy gminnej, może od aresztu, w każdym razie godło wójtowskiej władzy. Na głowie słomiany kapelusz z szerokimi kresami, rodzaj chłopskiej „panamy”. Opierając prawą rękę na sękatym kosturze, a

lewą nie bez poczucia godności założywszy na pas, stoi pan Nykoła ciężko i mocno na nogach, obutych w ogromne czoboty i rozstawionych szeroko. Patrzy w dal bystro i czujnie, boć przecie on musi wszystko widzieć i o wszystkim wiedzieć, co się dzieje we wsi. Wójt ma twarz tak samo zmurszałą, jak Seń, taki sam nos, pod ostrym kątem z pod czoła wystający, i siwawy, przycięty wąs. Ale zamiast służbistej skwapliwości idzie od niego wyraz powagi i sędziowskiego niemal skupienia, które wywołuje świadomość znaczenia piastowanego urzędu i złączonej z nim odpowiedzialności. Pan wójt z pewnością nie jest szybki w decyzjach; zanim coś postanowi, rozważa długo i sumiennie, aby nikomu krzywda się nie stała, ale gdy raz swą wolę ogłosi, potrafi wymusić dla niej posłuch, nie tyle owym sękatym kosturzem, ile swym autorytetem i powagą.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.



Pobereźnik Gregorcio 17.11.1867 (nr inw. MOG/II/2294)

Dostojeństwu wiejskiej władzy przeciwstawia się wiejska romantyka w postaci gajowego, który w tychże stronach nosi nazwę pobereźnika. Gregorcio mu na imię. Ten to już chyba nie urodził się w Pałahiczach, ale przywędrował z gór, gdzieś z Maniawy, Cucyłowa lub też Rafajłowej, a wskazuje na to jego strój, na pół huculski, oraz typ wcale nie nizinny. Szarawary wpuścił w kierpce, pod kożuchem sięgającym kolan ma jeszcze jakąś opończę i coś w rodzaju długiej kamizeli. Na głowie czapka obszyta lisiurą, uczciwa dubeltówka w rękach, na biodrach z jednej strony manierka, z drugiej torba; postawa strzelecka, a nade wszystko wesoło-chytra mina franta, dla którego las nie ma tajemnic, wszystko to dowodzi, że mamy przed sobą myśliwca nie od parady. Gregorcio jest jeszcze młody, między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia. Dziarskość i jurność drga w jego twarzy, przydaje lekkości jego smukłej po-

staci. Z nad górnej wargi zwisają mu prawdziwe kozackie wąsy, tak długie, że mógłby mu ich pozazdrościć sam jaremczański Dobosz. Lecz Gregorcio, choć pod rozłożystym drzewem, którego korzenie rozrosły się w fantastyczne wykroty, stoi w romantycznej postawie zbójnika, z strzelbą gotową do strzału, nie ma – broń Boże – żadnych zbrodniczych zamiarów. Biada tylko biednemu zającowi lub sarniukowi, jeśli zwabiony smaczną ozimimą pod lasem zanadto się zbliży do niego. We dworze, widocznie, potrzeba dziczyzny na obiad, więc ją Gregorcio musi dziś upolować, bo sam pan Henryk Rodakowski zbyt ma miękkie i dobre serce, aby strzelać do niewinnej i bezbronnej zwierzyny.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.



Kuc Myszka 10.12.1867 (nr inw. MOG/II/2295)

A teraz znów zakątek folwarku, który najbardziej nęci artystę i do którego najczęściej zagląda: stajnia końska. Jest tam huculski kuc „Myszka”, szczególna jego faworytka. Ma zimową, zszerszeniałą, gniadą sierść, a do tego czarną kudłatą grzywę i czarny ogon. Właśnie fernal w długim białym kożuchu, z szerokim czarnym kołnierzem barankowym, ma zamiar wyprowadzić ją przez otwarte na oścież drzwi stajenne. Ale „Myszka” jest urodzoną materialistką. Cóż dla niej znaczy świeże powietrze i piękny krajobraz zimowy, przyprószony świeżym śniegiem? Śniegiem przecież pożywić się nie można. Gdyby tak zielona trawka, to co innego. A tak „Myszka” woli raczej zostać tu w masztarce, gdzie wonne siano piętrzy się aż pod sufit. Dlatego, cofnąwszy w tył zadnie nogi i markotnie patrząc przed siebie, zaznacza stanowczo, że nie ma gustu na przechadzkę. Smętny również jest jej opiekun, z typową

wą w tych okolicach twarzą pociągłą, o długim nosie, z przystrzyżonym wąsem, i o długich czarnych włosach, przyciętych na czole w gładką grzywkę, a na karku układających się w gęste kędziory. I jemu dłuży się już ta zima, która dopiero się zaczęła. Gdyby tak wiosna, gdyby zaprząć konie do pługa i pójść orać w pole! Lżejby się jakoś zrobiło człowiekowi niezawodnie na sercu i na duszy.



Chłopiec stajenny Jacio 14.12.1867 (nr inw. MOG/II/2296)

I jeszcze jeden motyw ze stajni końskiej. Chłopak stajenny, Jacio, rozsiadł widocznie przed chwilą „Farysa” pani Rodakowskiej, a teraz idzie przez podwórko, obok lamusa z wrotami tak pięknie w drzewie wyciętymi, do drzwi kuchennych, ażeby tam oddać siodło damskie tudzież kracastą derkę, którą zresztą niefrasobliwie wlecze po ziemi. Chociaż już połowa grudnia, Jacio ma na sobie oprócz czapicy baraniej i butów z wyłożonymi cholewkami tylko długą koszulę po kolana, związaną czerwoną harasówką, i szeroki pas skórzany z błyszczącymi guzikami metalowymi. Ale co znaczy zimowy chłód dla takiego kilkunastoletniego łobuza wiejskiego? Młodość tak go grzeje, że musiałby dobry mróz pocisnąć, aby go poczuł. W ogóle Jaciowi nieźle się dzieje. Jego pyzata twarz, niezbyt ładna, ale miła z swemi naiwnie wpółotwartymi ustami, tchnie usługą i zadowoleniem. Nie bez tego, żeby mu tam w kuchni

nie dali jakiegoś codziennego pańskiego przysmaku, który w Jaciowej chacie nie pojawia się nawet na wielkanocnym stole.

Kozicki W., Henryk Rodakowski, Lwów 1937.

Dalszy ciąg rozdziału III – Tłumacz w latach wojennych 1939-1945

Wieś Tarnawica Polna w powiecie tłumackim i zapomniana placówka AK

(Wyjątek z książki pt. „Europa NIE prowincjonalna”. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej – Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina – wschodnie pogranicza III Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1772-1999. Praca zbiorowa.

Ryszard Brykowski

Wieś Tarnawica Polna, położona w powiecie tłumackim, leżała według *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich: (...) 9 klm. na płd.-zach. od Tłumacza (sąd. pow.), 9 klm. na płn.-wsch. od Otyunii (urz. pocz., st. dr. żel. i tel.). Na płn.-zach. leżą Czarnołożce, na płn. Hryniowce, na wsch. Hryniowce i Przybyłów, na płd. Hostów, na zach. Krzywotuly Nowe. Wzdłuż granicy wsch. płynie Tłumacz, a wzdłuż granicy płn. pot. Ruda (lewy dopływ Tłumacza). Na płn. niwy zwane „Krasna Hora”.*

W 1880 roku było we wsi 1391 mieszkańców i 18 na obszarze dworskim (razem 1409), wśród nich: 1225 katolików, 163 grekokatolików i 21 izraelitów (razem 1409); pod względem narodowości miało być 1406 Polaków i 3 Rusinów² (razem 1409), z czego można wnosić, że wszyscy izraelici określili się jako Polacy, a tylko 3 grekokatolików podało się za Rusinów. O ile w stosunku do izraelitów jest to zapewne błąd, o tyle grekokatolicy mogli być Polakami; jeszcze przed 1939 rokiem według danych statystycznych było w Polsce prawie pół miliona Polaków grekokatolików³. Ale gdyby nawet przyjąć, że określenie „grekokatolik” oznaczało wówczas również narodowość, czyli że w Tarnawicy Polnej było 1225 Polaków, 163 Rusinów i 21 Żydów, to i tak wieś ta była wsią polską.

Potwierdza to spis ludności z 1923 roku. Wówczas w Tarnawicy Polnej było 1548 mieszkańców, w tym 721 mężczyzn i 827 kobiet; katolików było 1434, grekokatolików 87, innych chrześcijan 2, a wyznania mojżeszowego 25 osób. Przynależność narodowa kształtowała się nieco inaczej, co też było charakterystyczne dla wschodnich województw Rzeczypospolitej. I tak narodowość polską podało 1492 mieszkańców (o 58 osób więcej niż katolików), ruską (rusińsko-ukraińską) 40 osób (o 47 mniej niż grekokatolików), żydowską 15 osób (o 10 mniej niż wyznania mojżeszowego), wreszcie 1 osoba była zaliczana do „innej narodowości”⁴.

W 1818 roku sumptem ówczesnego dziedzica Maryana Obertyńskiego zbudowana została drewniana kaplica, z czasem, zapewne przed 1864 rokiem, rozbudowana staraniem całej gminy. W tym samym 1864 roku świątynia ta stała się kościołem filialnym parafii Otyunia dekanatu stanisławowskiego. Nowy kościół drewniany wzniesiono w 1877 roku staraniem ks. Fel.[icjana?] Ziembowicza ze składek wyznawców. Kolejny, również drewniany, pod wezwaniem św. Marcina, ukończono w 1921 roku z równoczesnym powołaniem parafii⁵. Kościół ten mieli zbudować cieśle huculscy⁶.

Według *Schematyzmu* w nowo utworzonej parafii w 1929 roku było 2405 katolików, z czego w samej Tarnawicy Polnej 1415. Do parafii należała drewniana kaplica w odległym o 3 km Hostowie, zbudowana w 1911 roku⁷.

Natomiast wsie otaczające Tarnawicę Polną były zamieszkałe w większości przez ludność rusińsko-ukraińską. Przytaczając dane według spisu ludności z 1923 roku stosunki narodowościowe w tych wsiach wyglądały następująco: Hostów – mieszkało tutaj najwięcej Polaków 765 osób, zaś Rusinów 1078 (ponadto 4 Niemców i 12 Żydów); Hryniowce – 396 Polaków, 1280 Rusinów (13 Żydów); Przybyłów – 185 Polaków, 903 Rusinów; Krzywotuly Nowe – 160 Polaków, 652 Rusinów; Czarnołożce – 72 Polaków, 2169 Rusinów (4 Żydów); Korolówka – 40 Polaków, 1252 Rusinów (5 Żydów); Konstantynówka – 1 Polak, 4 Rusinów i 176 Niemców⁸.

Tarnawica Polna miała zwartą zabudowę skupioną wokół placu zwanego Rozstaje z licznymi ulicami: Borochoówka, Capajówka, Krukówka, Nadstaw, Majdanówka, Ruski Koniec, Wielki Koniec, Żurykówka. Wokół wsi, w promieniu około 2 km, ciągnęły się pola, teren był równinny. Zwarta zabudowa i otwarty teren okazały się w przyszłości zbawcze dla mieszkańców. Zabudowania mieszkalne i gospodarcze były drewniane, tylko kilka domów murowanych; zarówno domy drewniane, jak i murowane były bielone lub otynkowane i bielone, dachy kryte przeważnie blachą i dachówką⁹.

W Tarnawicy znajdowała się przed wojną szkoła¹⁰, dom kultury oraz 8 sklepów. We wsi w okresie międzywojennym działały takie polskie organizacje, jak „Strzelec”, harcerstwo, Straż Pożarna, „Przysposobienie Rolnicze”, amatorski Zespół Teatralny oraz chór „Orłęta”¹¹.

Przed wojną w Tarnawicy Polnej przez pewien czas wójtem był Ukrainiec Knihnicki, bardzo dobrze przez Polaków wspominany¹². Ten fakt, niegdyś naturalny na dawnych Kresach Rzeczypospolitej, że w polskiej wsi wójtem był Ukrainiec, dziś, wobec zarzutów formułowanych pod adresem Polski i Polaków, trzeba specjalnie podkreślić.

Moi rozmówcy, bez względu na wiek, nie podają z czasów pierwszej sowieckiej okupacji (wrzesień 1939-czerwiec 1941) żadnych konkretnych faktów czy wydarzeń. Cały ten czas jakoś dziwnie zawęził się w ich pamięci; mają o nim jedynie ogólne, jakby jednobarwne, zakodowane wspomnienie. Utrwalił się im jako czas trudny i niezrozumiały, czas wielkiego zaskoczenia i przygnębienia tym, co się stało, a zarazem czas przerażenia i ludzkiego strachu przed kolchozami, aresztowaniami i wywózką na Sybir¹³. Z Tarnawicy Polnej szczęśliwie w tym okresie nie wywieziono nikogo na Sybir. Wywożono natomiast z najbliższej okolicy Polaków-kolonistów, którzy otrzymali nadania w okresie międzywojennym.

Czy istniała już wówczas jakaś organizacja podziemna ani Jan Rybeczka, ani Jan Jakubowski nie wiedzą i nie sądzą, żeby była, a jeżeli jakaś organizacja istniała, to

mogły do niej należeć jedynie pojedyncze osoby, mające powiązania z dalszymi ośrodkami, może w Tłumaczu, Stanisławowie czy Kołomyi, które najpewniej zostały rozbite.

Podziemna, wojskowa organizacja powstała dopiero podczas okupacji niemieckiej i początkowo była to grupa nieliczna – sami zaufani. Jan Rybeczka nie pamięta, czy było to zaraz po wkroczeniu Niemców w II połowie 1941 roku czy dopiero w 1942 roku. Pamięta natomiast, jak w jego rodzinnym domu zbierali się sąsiedzi i czyścili broń – karabiny i pistolety. Sam do organizacji nie należał, bo był za młody, ale ojciec polecał mu czasami przenoszenie gazetek. Był to „Biuletyn Informacyjny” i do dzisiaj pamięta tytuł artykułu *Wolna Polska* w jednym z przenoszonych numerów¹⁴.

Na czele konspiracyjnej placówki w Tarnawicy Polnej stał Sebastian Rybeczka, ojciec Jana Rybeczki. Potwierdza to również Jan Jakubowski i nie było w tym nic dziwnego, bo do kogo mieli się we wsi zgłosić emisariusze szukający kontaktu z zaufanym mieszkańcem wsi, jeżeli nie do dawnego kawalerzysty, przed wojną komendanta „Strzelca”.

Organizacja stopniowo się rozrastała, wciąż jednak nie była liczna. W Tarnawicy Polnej stacjonował posterunek policji ukraińskiej, a wielu policjantów rekrutowało się z Ukraińców mieszkających w najbliższej okolicy, trzeba było więc być bardzo ostrożnym. Komendantem posterunku policji był Tesla, syn księdza grekokatolickiego z niedalekiej Korolówki¹⁵.

Jan Rybeczka wymienia następujących członków organizacji, których zapamiętał: Jana Jakubowskiego, który był zastępcą ojca; Ludwika Kołta; Koźbiała, leśniczego ze wsi Kolińce; Romana Sowę, miejscowego nauczyciela, kawalera; Jana Zalewskiego, karmelitę; stwierdza też, że najpewniej należał również ksiądz Józef Michalec¹⁶.

Jan Jakubowski wymienia z kolei Sebastiana Rybeczkę, Ludwika Kołta, Koźbiała i Romana Sowę, dodaje Mariana Gacka, Grudnia... i Bronisława Wdowiaka, a także Józefa (nie Jana) Zalewskiego oraz karmelitę Antoniego, nazwiska nie pamięta. Niestety ani Jan Rybeczka, ani Jan Jakubowski nie pamiętają żadnych pseudonimów, może ich nie było, chociaż to wydaje się nieprawdopodobne; raczej pierwszy ich nie znał, drugi mógł zapomnieć, bo minione lata zacierają wspomnienia. Nie pamiętają też nazwisk innych, którzy należeli do konspiracji.

2 lipca 1942 roku gestapo za posiadanie radia aresztowało w Tarnawicy 4 osoby: Michała Dyczka, Pawła Dyczka, Marcina Gacha i jego teścia Antoniego Hajdasza. Osadzono ich w więzieniu w Otyni.

Jan Rybeczka relacjonuje to wydarzenie na podstawie listu Antoniego Hajdasza, stryja swojej żony: *Skąd dowiedzieli się o tym aparacie? Michał Dyczek ożenił się z Ukrainką z Zakrzowic. I ta jego żona, chcąc się pozbyć Polaka, zameldowała o tym aparacie gestapowcom. Klucznikiem w tym więzieniu był Polak i każdemu doradzał, co mają mówić w czasie zeznania. Powiedział też, że za taką rzecz już nie będą oglądać świata. Potem przewieziono ich do aresztu do Stanisławowa. W Stanisławowie byli okrutnie torturowani. Píše stryjek, że tak bili, że koszula pod marynarką popękała i była zmieszana z popękanym ciałem i krwią. Więźniowie leżeli na betonie i po tych przesłuchaniach codziennie wywozili dwa lub trzy trupy na ulicę Halicką, gdzie były zakopywane w ro-*

*wach. W dalszym ciągu pisze, że teściowa miała brata, który był żonaty z Niemką, a brat tej Niemki był szefem całego więzienia. Teściowa prosiła, żeby coś w tej sprawie pomogła. Na drugi dzień wszystkich czterech więźniów wyprowadził z więzienia i puścił ich wolno*¹⁷.

W Tarnawicy Polnej oprócz posterunku policji ukraińskiej również gmina była obsadzona przez Ukraińców. Sekretarzem gminy był Kraśniak, wójtem Bojko, obaj Ukraińcy. Kiedy kierownictwo placówki zorientowało się, że Kraśniak może być niebezpieczny, bo za bardzo kręcił się po wsi, wszędzie zaglądał i za dużo już wiedział, postanowiono go usunąć. Podrobiono wezwanie do powiatu, pod budynek gminy podjechała wyznaczona przez sekretarza bryczka, zaś w lesie ślad po nim zaginął. Jan Rybeczka stwierdza, że *była to jedna z akcji naszej konspiracji. Wieś odetchnęła*.

Kiedy wydarzenie to miało miejsce – nie pamięta, podobnie jak i drugiej akcji, można jedynie domniemywać, że miało to miejsce do jesieni 1943 roku¹⁸.

W nie ustalonym czasie Niemcy i Ukraińcy prowadzili przez wieś transport węgierskich Żydów i w Tarnawicy zarządzili odpoczynek. Kierownictwo placówki zorientowało się, że wśród nich znajduje się Węgierka Marysia, żona Ludwika Głazberga, węgierskiego Żyda. Błyskawicznie zorganizowano ich ucieczkę, a następnie przechowywano w ukryciu do wyrobienia dokumentów. Tylko ściśle kierownictwo akowskiej placówki i ks. Józef Michalec wiedzieli, kim są, inni, powtarzam to za Janem Rybeczką, byli informowani, że *to córka naszego ziomka, który długo przebywał w Austro-Węgrzech, a potem na Węgrzech, powrócił z mężem do kraju. Jan Jakubowski opisując to wydarzenie podkreślał też rolę ks. Władysława Piękosia w udzieleniu pomocy uciekinierom*¹⁹. Sprawa się nie wydała i oboje, mówiący coraz lepiej po polsku, wyjechali z mieszkańcami wsi w ramach tzw. repatriacji do Polski²⁰.

Jesienią 1943 roku Niemcy urządzili w Tarnawicy Polnej łapankę ludzi na roboty do Vaterlandu, gdzie na szczęście nie dojechali. Jan Jakubowski pamięta, że wraz z nim zabrani zostali Marcin Gacek, Ludwik Krawczyk, Michał Szkwarek, Franciszek Sałdacz oraz inni, których już nie pamięta. Wywiezieni zostali do Tarnopola, potem do Lwowa, pracowali w rafinerii w Limanowej i w majątku rolnym volksdeutscha w Laskowej pod Limanową²¹.

Masowe mordy na Polakach, dokonywane przez Ukraińców w powiecie tłumackim, rozpoczęły się w 1943 roku²². Z Tarnawicy Polnej zginęły z rąk banderowców tylko trzy osoby schwytane poza wsią. Byli to: Kazimierz Kołt, porwany wraz z koniem, gdy wyjechał w pole, i Mietek Krawczyk wracający ze szkoły w Stanisławowie; nazwiska trzeciej osoby Jan Rybeczka już nie pamięta²³.

Najbardziej wstrząsający był mord dokonany w 1943 roku w miejscowości Bohorodczyn, o którym wiadomość rozniosła się po okolicy. Jeden z miejscowych Ukraińców zaprosił „na tłokę” do siebie ludzi ze wsi, a gdy wieczorem, po pracy, zasiedli starym obyczajem do poczęstunku, znienacka napadnięto na Polaków mordując 27 osób – mężczyzn i kobiet²⁴. Na przełomie sierpnia i września 1943 roku w Hostowie zamordowano 17 Polaków²⁵, na Wielkanoc 1945 roku całą rodzinę Bukowskich, ocaleli tylko dwaj synowie wywiezieni na roboty do Niemiec²⁶.

W tej sytuacji w 1943 roku, prawdopodobnie w drugiej połowie, powstaje w Tarnawicy Polnej zorganizowana Samoobrona Polska. Należą do niej wszyscy Polacy, a na jej

czele stają żołnierze placówki Armii Krajowej. Dowództwo samoobrony objął dowódca placówki Sebastian Rybeczka²⁷. Tak było we wszystkich wsiach i miasteczkach, gdzie zorganizowała się samoobrona ludności polskiej. Oczywiście nie oznaczało to dekonspiracji samej placówki, chociaż liczba zaprzysiężonych także wzrosła. Jan Rybeczka tak to określił: (...) *można powiedzieć, że wszyscy należeli do AK, ale o tym nie wiedzieli*. Okazało się, że broni było stosunkowo sporo; Polacy byli zapobiegliwi. Mieli nie tylko karabiny i broń krótką, ale też broń maszynową. Sporo broni dostarczali w 1943 roku Węgrzy, którzy stacjonowali w Tarnawicy Polnej lub przez nią przechodzili, były to głównie karabiny, amunicja i granaty²⁸. Węgrzy postępowali tak w całej Małopolsce Wschodniej, dozbrając struktury polskiej armii podziemnej i prawie jawną samoobronę.

Po zorganizowaniu samoobrony nocami zaciągane były warty z bronią, a równocześnie do Tarnawicy uciekali Polacy z okolicznych wsi, gdzie byli w mniejszości. Ukraińcy do końca nie zaatakowali wsi. Do końca, to znaczy do opuszczenia przez Polaków rodzinnej ziemi w ramach tzw. repatriacji. Ukraińska Powstańcza Armia wiedziała, że Polacy są uzbrojeni i gotowi drogo się sprzedać, a odkryty wokół wsi teren o promieniu około 2 km nie zachęcał do ataku. Nieudana wyprawa na polską wieś Święty Stanisław w sąsiednim powiecie kołomyjskim przyniosła znaczne straty²⁹. Ukraińcy byli ponadto przeświadczeni, iż Polacy w Tarnawicy mają artylerię. Zaraz bowiem po wkroczeniu do Tarnawicy Polnej na początku 1944 roku Sowieci *nasz chłopcy – jak mówił Jan Rybeczka – ściągnęli rusznicę z samochodu wraz z nabojami; było to ważne, bo parę razy strzelaliśmy w kierunku wiosek, gdzie byli banderowcy, a oni nabrali respektu sądząc, że mamy armaty*.

W niedługim czasie po wkroczeniu wojsk bolszewickich zorganizowano we wsi „Istriebitelny pluton”, jego dowódcą został rosyjski oficer Kola, ale „opiekę” nad plutonem wciąż sprawowało dowództwo placówki AK. Początkowo należeli do niego wszyscy, którzy posiadali broń; niebawem mężczyzn w wieku poborowym powołano do wojska polskiego, więc pluton składał się z chłopców w wieku przedpoborowym³⁰. Było to konieczne, aby jak najdłużej utrzymać oficjalnie broń w rękach polskiej samoobrony³¹. Przynależność do tych jednostek pozwalała też na osłonę żołnierzy podziemia przed natychmiastową dekonspiracją i dawała niezbędny czas na podjęcie bardziej przemyślanych decyzji.

Pluton liczył, według Jana Rybeczki, około 30 osób. Zapamiętał on nazwiska aż 17 żołnierzy tego plutonu – żołnierzy polskiej samoobrony. Oto one: Jan Capaja, Bronisław Gacek, Franciszek Gulij, Bronisław Hajdasz, Jan Hajdasz, Jan Kołt, Jan Krawczyk, Piotr Krawczyk, Jan Kruk, Michał Luty, Józef Rybeczka, Marian Rybeczka, Mieczysław Skwarek, Jan Sałdacz, Józef Wdowiak, Marian Wdowiak, Mieczysław Zaleski.

Pluton wykonywał dzienną i nocną służbę wartowniczą, chodził na wypadki przeciw banderowcom i eskortował do Tarnawicy przez wsie ukraińskie niedobitki ocalałych polskich rodzin z dalszych wsi³².

W lipcu 1945 roku ruszyły transporty kolejowe na zachód, do Polski. Władza ludowa w Polsce nie dopuszczała do tego, aby w jednym miejscu osiedlała się cała ludność ze wsi i miast kresowych, zwłaszcza społeczność

tak do końca zwarta i zorganizowana jak z Tarnawicy Polnej. Toteż pierwszy transport skierowano do Wielkopolski i w Zielonogórskie, drugi do Dzierżoniowa we Wrocławskim, a trzeci w rejon Bystrzycy Kłodzkiej. Tu też przez dłuższy czas ścigali niektórzy Tarnawiczanie z pozostałych rejonów osiedlenia i ci rozproszeni w czas wojenny – od Sybiru po Niemcy.

Zanim jednak nastąpił wyjazd w 1945 roku, aresztowano Sebastiana Rybeczkę. Początkowo siedział w niedalekiej Otyni, skąd po kilku dniach powrócił *straszenie zbity, cały siny, przekłuwano mu język. Towarzyszącym Rosjanom polecił oddać pepeszę schowaną w brogu. Oddałem – mówi Jan Rybeczka – ale bez amunicji, pozostał jeszcze ukryty karabin z amunicją, jeszcze mógł się przydać*. W niedługim czasie Sebastian Rybeczka został ponownie aresztowany wraz z nauczycielem Romanem Sową. Siedzieli kolejno w Otyni, Stanisławowie, Lwowie i Stanisławowie. Tutaj odbył się proces i obaj dostali po 9 lat łagrów za przynależność do Armii Krajowej. Wywieziono ich razem na Sybir, razem siedzieli w łagrze w Uchcie i razem wrócili w 1947 roku w ramach „amnestii”³³.

W Tarnawicy Polnej działała dobrze zakonspirowana niewielka grupa Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, o czym praktycznie do końca nie było wiadomo. Współpracując z bolszewikami donosili im o działalności Armii Krajowej na naszym terenie. Ich donosy spowodowały aresztowanie i zesłanie Sebastiana Rybeczki i Romana Sowy³⁴. Dziwić się jedynie należy, że działalność komunistycznej jaczejki nie spowodowała większych aresztowań.

Dzieje polskiej wsi Tarnawicy Polnej spod Tłumacza oraz jej zapomnianej akowskiej placówki podległej obwodowi AK w Tłumaczu³⁵ i działań Samoobrony Polskiej wymownie ilustrują losy setek podobnie zapomnianych polskich skupisk i ich walki o przetrwanie w latach okupacji na obszarach południowo-wschodnich województw. Potwierdzają też fakt, że mordy na ludności polskiej, dokonywane przez szowinistyczny ruch ukraiński reprezentowany przez Ukraińską Powstańczą Armie³⁶, na wzmószoną skalę rozpoczęły się w tym samym czasie, w połowie 1943 roku, na całym obszarze czterech wschodnich województw – lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego i wołyńskiego. Dotąd tragedia polskiej ludności na Wołyniu, najwcześniej i najobszerniej wprowadzona do świadomości polskiego społeczeństwa, oparta na rzetelnych badaniach, w dużym stopniu dzięki b. żołnierzom 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK³⁷, przesłaniała taką samą tragedię i prawdę na Podolu, Pokuciu i Ziemi Lwowskiej. Czas najwyższy ją odsonić!

Wydobyte, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, z zapomnienia okrucy dziejów Tarnawicy Polnej i jej akowskiej placówki z czasów okupacji, to także oskarżenie systemu władzy i jej przedstawicieli, którzy z obcego nadania rządili Polską i polskim narodem w latach tzw. Polski Ludowej. Ich walka z zapluty karmem reakcji oraz ze wszystkim, co mogłoby przypominać inną Polskę, a w konsekwencji zapuszczenie zasłony na dzieje ziem utraconych z wyroku Jałty, doprowadziło do nieodwracalnych luk w pamięci narodowej i w wiedzy historycznej o polskim cywilnym i wojskowym podziemiu w latach II wojny światowej, szczególnie na obszarze trzech południowo-wschodnich województw Państwa Polskiego.

Przypisy:

¹ Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. red. Bronisław Chlebowski, t. XIV, Warszawa 1892, s. 205-206. W tekście Słownika odnotować należy następujące nieścisłości: na wsch. Hryniowce – powinno być: Korolówka i zamiast na płd. Hostów – powinno być: Konstantynówka i Hostów; tutaj informacja, że w powiecie nadworniańskim była Tarnawica Leśna; obie miejscowości nazywano Tarnawica lub Tarnawica.

² Dane statystyczne za: Słownik geograficzny Królestwa Polskiego, s. 206. Nazwy „Ruś-Rusin” były nazwami tradycyjnymi (od Rusi Kijowskiej czy Rusi Czerwonej) i w okresie międzywojennym nazwami urzędowymi.

³ Drugi powszechny spis ludności, Warszawa 1937, tabl. 8: Ludność według wyznania i języka ojczystego: grekokatolików mówiących językiem polskim było 487 034.

⁴ Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej, t. XIV, Województwo stanisławowskie, Warszawa 1923, s. 20-21.

⁵ Słownik geograficzny Królestwa Polskiego, s. 206; Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini 1929, Lwów 1929, s. 135 (tutaj skrót imienia ks. Fel. Ziembowicza).

Można przypuszczać, że konieczność budowy nowego kościoła w 1921 r. zaistniała z uwagi na ewentualne zniszczenie poprzedniego w czasie ciężkich walk prowadzonych 1-7 III 1915 r. pomiędzy wojskami austriackimi z udziałem oddziałów 2. Brygady Legionów (grupa marszałka polnego porucznika Karola Trzaski-Durskiego) a wojskami rosyjskimi w rejonie Tłumacza, Hryniowic, Korolówki (por.: H. Lewartowski, B. Pochmarski, J. A. Teslar, Szlakiem bojowym legionów. Krótki zarys organizacji i dziejów 2. Brygady Legionów Polskich w Karpatach, Galicji i na Bukowinie, Lwów 1915, s. 61-63, 82-86).

⁶ Informacja ta, jak i inne dotyczące wsi i różnych wydarzeń zapamiętanych z okresu ostatniej wojny, pochodzą od dawnego mieszkańca Tarnawicy Polnej – Jana Rybeczki (ur. 1929), obecnie zamieszkałego we wsi Stary Waliszów k. Bystrzycy Kłodzkiej (w posiadaniu autora: Oświadczenie Jana Rybeczki, zamieszkałego we wsi Waliszów. W dniu 18 sierpnia 1996 r. w rozmowie z Ryszardem Brykowskim na temat konspiracji w latach ostatniej wojny oświadczyłem [w obecności Zbigniewa Ringa, zam. w Bystrzycy Kłodzkiej oraz mojej żony Marii z d. Hajdasz i żony R. Brykowskiego] co następuje); oświadczenie podpisane zostało 28 XI 1996 r.

19 VII 1996 r. w obecności żony autora i Zbigniewa Ringa przeprowadziłem jeszcze rozmowę z dawnym, już starszym mieszkańcem Tarnawicy Polnej Janem Jakubowskim, zamieszkałym w Bystrzycy Kłodzkiej; wysłana do niego do podpisu relacja nigdy do mnie nie wróciła; zmarł w niedługim czasie po bytności autora.

⁷ Schematismus Archidioecesis Leopoliensis, passim.

⁸ Zob. przypis 4. Nieco inaczej kształtowały się według tegoż spisu stosunki wyznaniowe w porównaniu z ludnościowymi: w Hostowie było 699 katolików, 1127 grekokatolików, 4 ewangelików, 29 wyznania mojżeszowego; w Hryniowcach – 139 katolików, 917 grekokatolików, 32 wyznania mojżeszowego, w Krzywotulach Nowych – 149 katolików, 663 grekokatolików; w Czarnołożcach – 78 katolików, 2163 grekokatolików, 4 wyznania mojżeszowego; w Korolówce – 32 katolików, 1258 grekokatolików, 7 wyznania mojżeszowego; w Konstantynówce – 1 katolik, 4 grekokatolików i 176 ewangelików.

⁹ Za Janem Rybeczką (zob. przypis 6).

¹⁰ Za Janem Rybeczką. Szkoła etatowa, jednoklasowa, była we wsi już w 1880 r., Słownik geograficzny Królestwa Polskiego, s. 206.

¹¹ Za Janem Rybeczką.

¹² Ibidem.

¹³ O tym strachu rozchodzącym się coraz szerszymi kręgami (od sąsiadów, znajomych, rodzin) na całe społeczeństwo interesująco pisze: A. Kuczyński, Wysiedlenie i podróż w nieznanne, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 1997, t. 130, s. 45-77; zob. też R. Brykowski. Dziecięce listy do dalekiej Kołomyi [listy z Kazachstanu], „Za i przeciw” 1989, nr 27 (też: „Biuletyn Lwów”: „Kresy” (Lodny) 1990, nr 63, s. 58-61).

¹⁴ Ten tytuł utkwiał też w pamięci Jana Jakubowskiego (zob. przypis 6).

¹⁵ Wspominał o tym Jan Rybeczka i Jan Jakubowski.

¹⁶ Ksiądz Józef Michalec (ur. 1880, wyświęcony 1917) był w 1929 r. katechetą w parafii Grzymałów (dekanat Skalał), zob. Schematismus Archidioecesis Leopoliensis Ritus Latini 1939, Lwów 1939, s. 122 (na s. 182, podano rok ur. 1890). Od 1934 r. ks. Józef Michalec był administratorem parafii Tarnawica Polna (za Schematismus Archidioecesis Leopoliensis, s. 87, tutaj podano rok ur. 1888); prowadził: Bractwo Różańcze, Katolickie Stowarzyszenie Kobiet, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, Parafialną Akcję Katolicką.

Natomiast o karmelicie Janie Zalewskim lub Antonim Zalewskim brak danych.

¹⁷ Fragment listu Jana Rybeczki z 23 V 1999 r. do autora artykułu; Antoni Hajdasz, stryj żony Jana Rybeczki, Marii z domu Hajdasz, to jeden z 4 aresztowanych.

¹⁸ O obu akcjach mówił też Jan Jakubowski, a od jesieni 1943 r. nie było go już we wsi.

¹⁹ Wynikałoby z tej relacji, że ks. Władysław Piękoś również należał do organizacji podziemnej. W Tarnawicy Polnej znalazł się zapewne w czasie wojny. W 1939 r. ojciec Władysław Piękoś, bernardyn, znajdował się w miejscowości Zarudeczko, administrowanej przez oo. bernardynów ze Zbaraża (por. Schematismus Archidioecesis Leopoliensis, s. 44).

²⁰ Małżeństwo pod przybranym polskim nazwiskiem zamieszkało we Wrocławiu; mieli dwie córki, na Węgry nie wrócili (nie jest jasne, czy nazwisko to przybrali jeszcze w Tarnawicy, chociaż realia życia okupacyjnego wskazują, że tak raczej było, czy też dopiero po repatriacji; podobnie nie wiadomo, czy imię Marysia było nadane Węgierce przez konspiratorów, czy też było jej prawdziwym imieniem, co wydaje się wręcz niemożliwe biorąc pod uwagę narodowość „Marysi”).

Ci, którzy znali lub znają polskie nazwisko węgierskiego małżeństwa przyrzekli, że nie ujawnią go bez zgody zainteresowanych. Autor niniejszego artykułu dopuszczony został do tej tajemnicy, ale też pod tym samym warunkiem, dlatego go nie ujawnia. W pewnych sprawach konspiracja trwa nadal.

²¹ Po przejściu frontu Jan Jakubowski pozostał w Małopolsce; przebywał w szpitalu w Nowym Sączu i tutaj jesienią 1945 r. spotkał ks. Józefa Michalca, który bardzo mu pomógł; od niego też dowiedział się, dokąd kierowane były transporty repatriacyjne z Tarnawicy Polnej – mógł odnaleźć rodzinę.

²² Henryk Komański podaje, że w powiecie tłumackim zginęło w okresie od IX 1939 r. do końca 1945 r. z rąk różnego rodzaju ugrupowań ukraińskich nacjonalistów około 3000 Polaków; zob. H. Komański, Eksterminacja ludności polskiej w pow. Tłumacz, woj. stanisławowskie, cz. I, „Na Rubieży” 1998, nr 32, s. 27-39.

²³ O obu osobach mówił też Jan Jakubowski, dodając, że z Tarnawicy Polnej zginęło 3-4 osoby. O 6 osobach pisze Henryk Komański (jw.).

²⁴ Mord ten w sposób identyczny opisali Jan Jakubowski i Jan Rybeczka; Henryk Komański o nim nie wspomina, odnotowuje natomiast trzy inne napady dokonane w Bohorodyczynie i „co najmniej 10” ofiar (H. Komański, op. cit., s. 27).

²⁵ Za Janem Rybeczką i Janem Jakubowskim.

²⁶ Za Janem Rybeczką. Henryk Komański (op. cit., s. 29) wymienia imiona i nazwiska 34 ofiar z tej wsi oraz dwie dalsze ofiary znane tylko z imion; wśród ofiar znajduje się 4-osobowa rodzina Bukowskich, a także Ukraińiec Makary Iwan. Tutaj też podane są nazwiska 25 Polaków zamordowanych w pobliskich Hryniowcach.

²⁷ Za Janem Rybeczką i Janem Jakubowskim

²⁸ Za Janem Rybeczką

²⁹ Zakodowane we własnej pamięci autora z opowiadań zasłyszanych w 1944 r. w Kołomyi. Wzmiankę o kilku napadach zob.: Eksterminacja ludności polskiej w powiecie Kołomyja woj. stanisławowskie w latach 1939-1945, cz. I zebra. i oprac. H. Komański). „Na Rubieży” 1999, nr 33/34, s. 38

³⁰ Za Janem Rybeczką

³¹ Stawiane dzisiaj zarzuty członkom „lotnych” plutonów i batalionów, iż służyli w NKWD, są śmieszne i niewłaściwe. Mogą tak postępować jedynie ci, którzy nie znają z własnych przeżyć realiów okupacji niemieckiej i drugiej okupacji bolszewickiej oraz totalnego zagrożenia ludności polskiej ze strony Ukraińców na południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej.

³² Jan Rybeczka oblicza, że wcześniej w Tarnawicy Polnej mieszkało ok. 360 polskich rodzin; licząc przeciętnie 4-5 osób na rodzinę, było ok. 1650 mieszkańców. Liczba ta znacznie wzrosła w związku ze schronieniem się w Tarnawicy Polaków z innych, nawet dalszych wsi.

³³ Za Janem Rybeczką.

³⁴ Ibidem.

³⁵ O obwodzie AK Tłumacz Inspektoratu AK Stanisławów zob.: J. Węgierski, Armia Krajowa w okręgach Stanisławów i Tamopol, Kraków 1966, s. 58, 60, 64, 67; G. Mazur, Pokucie w latach drugiej wojny światowej. Położenie ludności, polityka okupantów, działalność podziemia, Kraków 1994, s. 99, 110, 113.

³⁶ Używam określenia „ukraiński ruch szowinistyczny”, co lepiej oddaje ideowy charakter tego ruchu pochodzącego z pozycji narodowo-niepodległościowych na pozycje skrajnie szowinistyczno-faszystowskie. Ponadto we współczesnym języku ukraińskim „nacjonalistyczny” oznacza „narodowy” i wypiera od dawna z użycia słowo narodnij – narodowy.

³⁷ M. in.: J. Turawski, W. Siemiaszko. Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności polskiej na Wołyniu 1939-1945, Warszawa 1990; W. Filar, Rozwój ukraińskiego ruchu niepodległościowego na Wołyniu w latach 1939-1944. Powstanie UPA. [w:] Polska-Ukraina. Trudne pytania, t. I-II, Warszawa 1998, s. 67-92. □

Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księży

Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.)

Ks. Lesław Jeżowski

Szczególne wyczulenie Księdza na cnotę czystości

Z wyjątkową uwagą i troskliwością ks. Witkowski podchodził do problemu młodzieńczej czystości. Wykorzystywał każdą sposobność, aby zachęcać młodzież do szczególnej walki z grzechami przeciw VI przykazaniu. Grzechy te przedstawiał jako najcięższe ze wszystkich i najbardziej obrzydliwe. Według Jego określeń, z każdego grzechu można wyjść bez plamy na duszy. Po żalu za niego i spowiedzi. Jedynie nieczystość pozostawia nieusuwalną bliznę. Kto raz uległ grzechowi nieczystemu, już się nigdy nie uwolni od jego zmazy. Jak mróz warzy jesienią kwiaty i liście, tak nieskromność niszczy bezpowrotnie piękno duchowe człowieka, zwłaszcza młodego. Nieczystość jest jak gangrena, zdolna zatruć cały organizm. Chłopiec ulegający temu grzechowi przestaje się interesować wszystkim, co nie wiąże się z jego występkiem. Żadne wyższe myśli i dążności nie pociągają go. Wola jest tak osłabiona, że nie jest zdolna do jakiegokolwiek potrzebnego wysiłku. Charakter wykoślawia się, jest chwiejny, bez wartości. Nieczystość zmienia człowieka nawet fizycznie. Młodzieńcza cera staje się szara, ziemista, wargi bledną, oczy tracą blask, wyraz twarzy robi się tępy, bezmyślny. Niektórzy święci np. Filip Neriusz rozpoznawali rozpustników po fetorze, jaki wydzielano ich ciała.

Nic pięknie nie zdobi młodzieńca, jak niewinność, anielska cnota. Żadne osobiste walory i umiejętności nie mogą iść z nią w parze. Chłopiec, który nie splamiał się grzechem nieczystym jest szczególnie miły Panu Bogu. Matka Najświętsza spogląda na niego z wyjątkową miłością. Czysty chłopiec posiada radość życia, pogodne spojrzenie na otaczającą go rzeczywistość, nauka idzie mu łatwiej, harmonijniej układa się jego współżycie z członkami rodziny, potrafi wypracować w sobie zdecydowany, męski charakter. Chociażby tak się ułożyły koleje jego życia, iżby nie osiągnął na ziemi niczego z tych wartości, które ludzie zwykli cenić, jeżeli nie stracił niewinności, to lat swych nie zmarnował i posiada skarb cenniejszy niż wszelkie materialne, wymierne dobra. Zasługuje na powszechne uznanie i szacunek, jako bohater, który umiał pokonać samego siebie. Kiedyś inni nie dostąpią zjednoczenia z Bogiem zanim nie oczyszczą się męką czyśćcową ze swoich zmysłowych plugastw, a on, niewinny i czysty, z życia doczesnego przejdzie bezpośrednio w szczęśliwość wieczną.

Ta część młodzieży, która prowadziła pogłębione życie religijne poddawała się wywodom i sugestiom Księdza i utwierdzała się na swej czystej drodze życia. Inni, raczej obojętni religijnie, mało się przejmowali sło-

wami ks. Profesora, które wypowiadał z całym przejęciem. Słuchali ich, aby mieć podniety do zgola nieczystych myśli, a później, po lekcji, do plugawych, jak to Ksiądz określał, rozmów.

Podczas mojego pobytu w Tłumaczu nie zaszła żadna wypadek jawnego przekroczenia przez ucznia gimnazjum zasad moralności płciowej. Gdyby jednak coś takiego było się zdarzyło, nie wątpię, że ks. Witkowski wystąpiłby przeciw delikwentowi z całą stanowczością. Nie chcąc dopuścić do zgroszenia wśród młodzieży, domagałby się usunięcia go ze szkoły. Surową sprawiedliwość przełożyłby ponad miłosierdzie.

Stosunek nauczycieli do ks. Witkowskiego

Grono profesorskie odnosiło się do ks. Witkowskiego z szacunkiem. Przy nas mówili o Nim – ksiądz doktor, akcentując Jego stopień naukowy. Nigdy nie kwestionowali ani nie podważali Jego pouczeń i poleceń.

Dowodem uznania, jakim cieszył się nasz Ksiądz na terenie gimnazjum było urządzenie uroczystości imieninowej w dniu św. Mikołaja. W podobny sposób obchodzono jeszcze tylko imieniny dyrektora. Wszyscy wychowawcy i cała młodzież gromadzili się w przyozdobionej sali dla złożenia ks. Profesorowi życzeń.

Poza gimnazjum ks. Witkowski raczej nie utrzymywał stosunków towarzyskich z naszymi profesorami. Może był u jednego, dwóch z okazji świąt i imienin.

Ks. Witkowski a obywatele Tłumacza

Również nie zwykł odwiedzać domów rodziców swoich uczniów, tych bliższych sobie nawet, ani domów miejscowych notabli. W naszym mieszkaniu był zaledwie kilkakrotnie podczas mojego ośmioletniego pobytu w Tłumaczu. Przychodził razem z innymi księżmi. Bywało to chyba w święta lub w jakąś naszą domową uroczystość. Zachowywał się naturalnie, swobodnie, był pogodny i wesoły. Zauważyłem, że prowadzona z moimi Rodzicami rozmowa interesowała Go i wciągała.

Towarzystwa krępującego Go unikał za wszelką cenę, a gdy dostał się w nie wbrew swojej woli, czym prędzej się od niego uwalniał. Matka pewnego mojego kolegi zanudzała niemal wszystkich nauczycieli częstymi interwencjami na rzecz swojego, niezbyt udanego syna. Nie omijała również ks. Witkowskiego. Gdy raz dopadła Go na ulicy i dała popis swej elokwencji, Ksiądz szybko jej przerwał, oświadczając, że biskup zabronił księżom rozmów z kobietami w miejscach publicznych.

Riposty ks. Witkowskiego

W ogóle, jeżeli chodzi o riposty ks. Witkowskiego, bywały one nieoczekiwane. Celował w nich i cieszył się, gdy swego interlokutora nastawionego nieprzyjaźnie, potrafił zaskoczyć i – jak to się mówi – zrobić na szaro.

Słyszałem na własne uszy gdy Ksiądz przytaczał mi cały szereg takich swoich odpowiedzi, ale nie potrafię ich powtórzyć. Tymi i podobnymi umiejętnościami posługiwał się szczególnie podczas swojego administrowania parafią mariampolską w czasie wojny, gdy Polacy żonaci z Rusinkami, albo mający jednego z rodziców Rusina, podbuntowani przez ruskich parochów chcieli zmieniać obrządek łaciński na grecki. W tym celu przychodzili do swojego proboszcza i mówili, aby dał im „papiery”. Chcieli je przekazać księdzu greckokatolickiemu. Chodziło, oczywiście, o wypis z księgi metrykalnej. Gdy jeden z takich wątpliwej wartości parafian zjawił się u ks. Witkowskiego i przedstawił swoje życzenie, otrzymał od Niego kilka nic nie mówiących papierów, które zaniósł do proboszcza ruskiego. Ten zrugął nierozgarniętego chłopca i przypomniał, że chodzi nie o byle jakie papiery, ale te, które dotyczą jego. Chłop powtórzył to ks. Witkowskiemu i zażądał swoich papierów. Ksiądz wmówił mu, że właśnie te papiery o które chodzi, są w jego ręku. Bo przecież to są już jego papiery a nie – należące do kancelarii parafialnej. Chłop znowu idzie do parocha, a ten podenerwowany tłumaczy mu, że pod słowem papiery rozumie księgę parafialną. Na relację chłopca ks. Witkowski wręczył mu nie zapisaną jeszcze księgę chrztów. Paroch odesłał ją. Jeszcze kilkakrotnie odbyła się wędrówka chłopca między plebanią grecką a łacińską, a rezultatem jej było zniechęcenie się Polaka do zmiany obrządku, co było w tamtejszych warunkach równoznaczne ze zmianą narodowości.

Swoimi specyficznymi umiejętnościami ks. Witkowski posługiwał się też w różnych urzędach, które postępowały wobec Niego niesłusznie. Gdy, będąc już po wojnie na Ziemiach Zachodnich, był zmuszony wypełniać kwestionariusze nadsyłane Mu przez Urząd Finansowy, który szykanował duchowieństwo zawyżonymi podatkami, w rubryce gdzie trzeba było podać pracodawcę wpisywał: Pan Bóg. Uważał, że paragrafy ustaw nie mogą sięgać tak wysoko. W rozmowach wyjaśniających z urzędnikami potrafił tak ich zaskakiwać swoimi teologiczno-filozoficznymi terminami, że ci poważnie zastanawiali się, czy nie byłoby lepiej dać sobie spokój z tym tak niezwykle rozumującym księdzem.

Opiekun bursy T.S.L.

W pierwszych latach mojego pobytu w Tłumaczu, bursa dla uczniów gimnazjalnych stanowiąca własność, o ile się nie mylę, Towarzystwa Szkoły Ludowej, nie miała szczęścia do opiekunów, którzy często się zmieniali. Opiekunami tymi byli nauczyciele gimnazjum. Odstręczały ich od dłuższego zajęcia się tą instytucją trudności natury gospodarczej, bądź pedagogicznej. Jako opiekunów bursy w pierwszych latach trzydziestych pamiętam profesorów: Dąbka i Vollprechta. Po odejściu tego ostatniego, znowu powstał problem, kto obejmie zarząd bursy.

Poruszano go i u mnie w domu. Wtrącając swoje trzy grosze do rozmowy Rodziców, zauważyłem, że najlepszym opiekunem byłby ks. Witkowski. Ojciec był tego samego zdania, a Jego zdanie liczyło się, jako że był w owym czasie albo prezesem T.S.L., albo przynajmniej członkiem zarządu tego towarzystwa i oprócz tego prezesem Koła Rodzicielskiego przy naszym gimnazjum. Ale, utrzymywał Ojciec, ks. Witkowski nie chce

się podjąć funkcji opiekuna bursy. Perorowałem dalej, że trzeba użyć wszelkich sposobów, aby Ksiądz zrezygnował ze swego oporu, bo któż lepiej od Niego potrafi stworzyć właściwą atmosferę w bursie, w której uczniowie rośli by na dobrych Polaków i katolików? Moje zdanie było jakby wypowiedzeniem własnych myśli Ojca, któremu jako wyjątkowo głęboko i mądrze wierzącemu, gorliwie praktykującemu szczególnie leżało na sercu religijne wychowanie młodzieży.

Wkrótce po tym odbyło się zebranie T.S.L., Koła Rodzicielskiego, Rady Pedagogicznej gimnazjum w sprawie obsadzenia wakuującego stanowiska w bursie. Relacjonując u nas w domu jego przebieg, Ojciec opowiadał, że na wysuniętą pod adresem ks. Witkowskiego propozycję, zainteresowany odpowiadał raczej negatywnie, ale na bardzo usilne perswasje i prośby zebranych, w tym szczególnie Ojca, wyraził w końcu swoją zgodę. Zgromadzenie przyjęło tę niewątpliwie wielkoduszną decyzję ks. Profesora z wielkim zadowoleniem. Wiadomo było, że Ksiądz bierze na swoje ramiona wielki ciężar, rezygnuje z osobistej swobody i nieskrępowania, a przysparza sobie mnóstwo kłopotów i przykrości. Jeszcze dzisiaj pamiętam radość mojego Ojca wywołaną faktem, że ks. Witkowski dał się ubłagać i przyjął w końcu opiekunstwo bursy.

Ksiądz zlikwidował swoje mieszkanie w domu lekarza Gelehrtera, po jego samobójstwie przeznaczonym na sprzedaż (kupił go technik dentystryczny Doller) i przeniósł się do bursy, położonej przy ul. Kolinieckiej. Odtąd wygląd bursy zaczął się pod każdym względem zmieniać na lepszy. Jej wychowankowie zostali otoczeni troskliwą opieką, skończyły się czasy samowolnego postępowania „bursaków”, wprowadzone zostały ściśle przestrzegane przez księdza przepisy wychowawcze i porządkowe.

Budynek bursy został poddany remontowi, wprowadzono konieczne, nowe urządzenia. Zdeptaną ziemię przed bursą Ksiądz zamienił w ogród kwiatowy, przez który prowadziły porządnie utrzymane ścieżki.

Mało wykorzystywany dotąd obszerny ogród za bursą, ciągnący się aż do Tłumaczyka, pokryły grzędy i grządki, na których uprawiano potrzebne do domowej kuchni warzywa. Ksiądz próbował nawet wykorzystać rzeczkę do celów kąpieliskowych, ale nie udało się Mu to ze względu na duże zanieczyszczenie Tłumaczyka. Zrobił więc tylko szeroką ścieżkę wzdłuż niego, po której można się było swobodnie przechadzać. Zachęcał młodzież, aby w dni pogodne tam spędzała swoje rekreacje. Ale chłopcy woleli w czasie wolnym grać w siatkówkę na podwórzu między budynkiem bursy a ogrodem warzywnym.

Gdy stosunkowo często przychodziłem do bursy, aby brać udział w konsultacjach sodalicyjnych odbywających się w mieszkaniu Księdza, albo aby Go odwiedzić, czy też spotkać się ze swoimi kolegami, ks. Witkowski niemal zawsze, o ile pozwalała na to pogoda, prowadził mnie przed dom i pokazywał kwiaty, które świeżo zakwitły, albo do ogrodu, abym zobaczył urodzaj warzyw. Poznawałem wtedy po raz pierwszy w swoim życiu nazwy niektórych kwiatów oraz widziałem jarzyny nie w kuchni lub na stole jadalni, ale rosnące jeszcze w ziemi.

Moje wizyty u ks. Witkowskiego w bursie kończyły się zwykle małym poczęstunkiem, kawą i ciastkami.

Ksiądz lubił dobrą, świeżo parzoną kawę ze śmietanką, ja również, więc piliśmy ją w towarzystwie dwóch moich kolegów mieszkających w bursie i wchodzących w skład sodalicyjnej konsulty. Mam na myśli Bolesława Bilińskiego, księdza, obecnie proboszcza w Komprachcicach koło Opola i nieżyjącego już Kazimierza Sucheckiego, również księdza, proboszcza w Ołtarzynie koło Wrocławia.

Przy okazji chciałbym zaznaczyć, że ks. Witkowski nie należał do tych katechetów, którzy lubią obdarowywać swoich wychowanków chociażby słodyczami lub urządzać im różne rozrywki. Przypuszczam, że ta powściągliwość nie płynęła ze skąpstwa, ale z założeń pedagogicznych. W wyjątkowych sytuacjach Ksiądz umiał być nawet hojny. Sam tego zaznałem, gdy w 1938 r. wybierałem się do Rzymu na kanonizację bł. Andrzeja Boboli. Ks. Profesor pokrył mi wtedy 1/3 kosztów podróży co stanowiło mniej więcej 1/8 jego poborów miesięcznych otrzymywanych w gimnazjum.

Po kilku latach pracy ks. Witkowskiego bursa tak zmieniła się na korzyść, że była wprost nie do poznania. Sprawca tych przemian mógł być w pełni zadowolony. I chyba to zadowolenie odczuwał. Poznawałem je po wyrazie twarzy Księdza, gdy pokazywał mi swoje dzieło, po radości, z jaką pielęgnował kwiaty. Raz, a było to w okresie, gdy mówiło się o odejściu Księdza z Tłumacza do Stryja, wyraziłem wobec niego głośno swoje przypuszczenie, że zapewne byłoby Mu żal zostawić taki piękny swój dorobek, rezultat wielkiej pracy i długiego czasu. Wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, usłyszałem, że właśnie – nie.

– Ja, mówił Ksiądz, nie przywiązuję się do takich rzeczy. Owszem, cieszą mnie, poświęcam im wiele starania, niczego nie zaniedbuję aby wyglądały najlepiej, ale gdy trzeba odejść, zostawiam je bez żalu. I wkrótce zapominam o nich. Już kilkakrotnie w moim życiu tak było, że urządzałem coś, wyposażałem,

upiększałem, a później skierowany do innych zajęć, gdzie indziej, nawet nie pomyślałem o tym co opuściłem.

Podziwiałem swojego Księdza, Jego ascezę i na tym polu. Ja bym tak nie potrafił.

W miarę polepszania się warunków bytowych w bursie przybywało jej internistów. Ksiądz nie mógł już sam jeden czuwać nad nimi wszystkimi, a oprócz tego mieć na swojej głowie kuchnię, spiżarnię, piwnicę, drewnię, warsztat, pralnię, nadzorować prace kucharki, służących oraz przygodnych robotników. Z tego powodu poprosił o pomoc p. Halkiewiczową, wdowę po nauczycielu tłumackiego gimnazjum, która zamieszkała w bursie i wzięła na siebie część obowiązków Księdza. W pewnej mierze surowy, męski klimat bursy uległ złagodzeniu.

Ale mimo to, ci chłopcy-bursacy, którzy marzyli o całkowitej swobodzie, o zniesieniu wszelkich regulaminów i obowiązków układali i śpiewali piosenki na temat swojego ciężkiego losu. W jednej z nich były słowa:

– I nastały takie czasy,

Że w bursach rządzą katabasy.

Liczba mnoga wywodziła się z faktu, że opiekunem drugiej, ruskiej bursy przy ul. Słowackiego „Seliansko-zachystu”, jak się oficjalnie nazywała, był również kapłan, ks. Pławiuk.

Wizytacje, jakie od czasu do czasu były przeprowadzane w bursie z ramienia władz nadrzędnych, zawsze wypadały pomyślnie, a ks. Witkowski odbierał zasłużone pochwały. Opowiadał mi o tym mój Ojciec, który poza tym wpływał na okoliczne ziemianstwo, wójtów polskich wsi, aby bezpłatnie dostarczali do bursy produkty rolne.

Owocną działalność ks. Witkowskiego w bursie przerwała i zakończyła II wojna światowa. Usunięty z niej w 1939 r. zamieszkał na tłumackiej plebanii.

(c.d.n.)

Czas odnaleziony

Ks. dr Stanisław Turkowski

Fragment przemowy wygłoszonej na zjeździe b. mieszkańców miasta Horodenki – można również odnieść do naszych tłumackich zjazdów.

Redakcja

Jest w Starym Testamencie pewien wspaniały tekst, cytowany w różnych okolicznościowych rozważaniach na temat czasu i bezradności człowieka wobec przemijania. Tekst ten brzmi następująco:

„Wszystko ma swój czas: Jest czas rodzenia i czas umierania –

Czas sadzenia i czas zbioru –

Czas budowania i czas niszczenia –

Czas płaczu i czas śmiechu –

Czas mówienia i czas milczenia –

Czas miłości i czas nienawiści –

Czas wojny i czas pokoju –

(Ekl. 3, 1-8)

Słowa te zamknięte w kształt poetyckiej medytacji, nam uwikłanym w różne problemy życia i historycznych przemian, przypominają o przemijaniu jednych – ale i o trwaniu innych wartości. Mówią nam o tym, że i w naszym życiu zachodzą zmiany, przemijają niektóre sprawy

z upływem dni, ale także trwają idee przekazane i zaszczerpione zwłaszcza w dzieciństwie i młodości, a następnie potwierdzone doświadczeniem życia codziennego. I dlatego wiemy, że jest czas radości i smutku, śmiechu i płaczu, czas powitania i pożegnania, spotkania i rozstania, czas młodości i starości, przemijania i czas trwania.

Przeżywamy niepokój dnia, który już się nachylił ku wieczorowi... My starsi czujemy coraz wyraźniej, jak powoli „zamyka się pierścień czasu naszego życia... ale wiemy także, że w tym pierścieniu żarzy się jasnym blaskiem klejnot słonecznej młodości...” (Zob. J. Parandowski: Wspomnienia i sylwety). I jakkolwiek zdajemy sobie sprawę, że „minionych czasów żaden cud nie wróci do istnienia” (A. Asnyk) to jednak wówczas, gdy nam ciężko na sercu, gdy trud życia zaczyna doskwierać, gdy szara rzeczywistość przytłacza swym ciężarem, wówczas myślą wracamy do owych dni bez

skiej młodości tak, jak to zwykł czynić poeta nasz Leopold Staff, gdy pisał:

„Jak często płosząc posępne cienie
Powracam myślą w lata najmłodsze,
Gdy świat był jasny jak przebudzenie,
A kwaśne jabłka były najśodsze:
Kiedy się śniły wielkie przygody
Dzielnie w słabszych stanąć obronie
Lub tonącego wyciągnąć z wody,
Lub rozbiegane zatrzymać konie.
Kusiła dziuplą wierzbą garbata
Nęciła każda szpara w parkanie,
Lecz nocą strach brał przed końcem świata
Lub że kraść dzieci będą cyganie.
I winy były w małych zuchwalcach
Ale ich nie tknął ślad błota,
I atramentu plamy na palcach
Były jedynym brudem żywota.”

Ten powrót do wspomnień młodości, do czasu minionego, to wyraz najistotniejszych pragnień tkwiących w człowieku, aby być czystym, szczęśliwym, mieć spokojne sumienie, zachować jasne, niezmacone niczym spojrzenie na świat, na życie, na ludzi... A to jest takie ważne, tak bardzo potrzebne i takie trudne.

To spotkanie po latach jest powrotem „myślą w lata najmłodsze...”, jest odnowieniem w pamięci tego wszystkiego, czym żyliśmy, czym radowały się nasze serca... ale jest także odnowieniem wspomnień niekiedy bardzo bolesnych w skali osobistej i społecznej. Bo przecież i one pozostawiły jakiś ślad w duszy... ukształtowały osobowość, wpłynęły na nasze człowieczeństwo może w znacznie większym stopniu, niż te pierwsze. Ale prawdą jest również i to, „że człowieczeństwo nasze wzrasta i rozwija się najlepiej na drogach trudnych” (Ks. J. Pietraszko: Spotkania – Kraków, Znak, 1967, str. 49). Czas miniony, lata dzieciństwa i młodości jawią się nam dzisiaj w jakimś innym, pełniejszym świetle, jako prawdziwe życie człowiecze. My dziś już trochę inaczej patrzymy na niektóre sprawy niż wówczas, gdy opuszczaliśmy Kresy w 1945 roku...

Spoglądamy na życie podobnie, jak patrzylibyśmy ze szczytu wieży na miasto i na ruch miejski. Wzrokiem ogarniamy szerszy horyzont, przedmioty i rzeczy widzimy w znacznym pomniejszeniu. Tylko niebo jest dalej wielkie i bezkresne jak dawniej... Zmalały nam już pewne wartości, które uważaliśmy niegdyś za ważne, myślimy o nich z uśmiechem pobłażania. Nie wytrzymały próby czasu... Ale inne ostały się pomimo dziejowych burz. Mieliśmy dość czasu i sposobności, by się o tym przekonać i dlatego z większą wiarą i zrozumieniem wypowiadamy dziś słowa liturgii Mszy św. będące uwielbieniem Boga: „Tylko Tyś jest Święty, Tylko Tyś jest Panem, Tylko Tyś Najwyższy, Jezu Chryste...”.

Wielkim jest tylko Bóg. Człowiek może być o tyle wielkim, o ile uczestniczy w tej wielkości Boga (Bossuet).

Nauczylimy się wiele... przede wszystkim zobaczyliśmy działanie Opatrzności w dziejach. Widzimy, że Bóg jest obecny w historii ludzkości jako ten ewangeliczny Gospodarz winnicy i jako Pan dziejów, piszący „prosto po liniach krzywych”.

Powiązanie czasu i miejsca z losami ludzkimi, znajduje w chrześcijaństwie pełne urzeczywistnienie, pełną realizację. Boże plan zbawczy dokonuje się w stosunku do każdego z nas w określonym miejscu i czasie. Przypowieść ewangeliczna o robotnikach przychodzących do pracy w winnicy o różnej porze mówi nam, że o każdym czasie możliwe jest to spotkanie człowieka z Bogiem. Wszystko zależy od człowieka, od jego dobrej woli, od jego wolnego wyboru. Ilekroć wybieramy dobro, spotykamy się z Bogiem. Gdy przełamujemy słabość swoją ludzką, stajemy się bliżsi Boga. Gdy przewyciężamy zło, Bóg staje przy nas. Wówczas życie nasze nabiera cech uwielbienia Chrystusa – wedle słów św. Pawła: „Chrystus będzie uwielbiony w moim ciebie, czy to przez życie, czy przez śmierć. Dla mnie bowiem żyć – jest Chrystus!” (Filip. 1,21)

To nam przypomina powrót do lat minionych. I dlatego to nasze „poszukiwanie czasu utraconego” czasu naszej młodości, staje się dla nas „czasem odnalezionym”, czasem odzyskanym. □

Sagi rodzinne

Ze wspomnień małolata (III) (c.d.)

Tadeusz Bodniak

Po wkroczeniu oddziałów węgierskich w mundurach podobnych do umundurowania żołnierzy polskich, uczestnicząc w niedzielnych nabożeństwach (na sumie) w kościele św. Anny robili wrażenie przyjaznych ludności polskiej. Na zakończenie miesięcznej „okupacji węgierskiej” odbyła się defilada pożegnalna przed społecznością Tłumaczan z udziałem ks. Tabaczkowskiego. Jednostka węgierska wyjechała, a miastem zaważnęła niemiecka żandarmeria i gestapo. Rozpoczęły się rządy „zwycięzców”. Krwawa wojna w błyskawicznym tempie przemieszczała się w głąb Związku Radzieckiego.

Życie mieszkańców nasączone niepewnością i lękiem poszarzało, choć przybyli „władcy” w pierwszych

dniach nie ujawniali prawdziwego oblicza. Rozpoczęły się zajęcia w szkole powszechnej, w salach dawnego gimnazjum na terenie parku miejskiego. Po dwuletniej szkole wiejskiej (w Pałahiczach) z ukraińskim językiem nauczania szybko wkomponowałem się w nowe środowisko, a koledzy: Masło, Petrus Fr., Macek i inni (których już nie pamiętam) mieli w tym swój udział. Wychowawcą klasy był Pan Misiecki, którego lekcje często urozmaicane były grą na skrzypcach, bo „muzyka łagodzi obyczaje”, jak powiadał.

Czas szybko umykał. Zbliżała się zima, a trudy życia stawały się coraz bardziej dotkliwe. Trudności w zdobyciu podstawowych artykułów spożywczych i opał stały się złą złą mieszkańców miasta. Wprowadzony

system reglamentacji art. spożywczych nie tylko nie zaspokajał potrzeb, ale często nie był realizowany. Głód zaczął zaglądać w oczy cywilnej ludności, a wiosną 1942 r. na tzw. przednówku pożywieniem stały się lebioda i pokrzywa. Dramat czasów przeżywał (kończył) tłumacki „Meksyk” ogrodzony wysokim płotem, dzielnica Żydów, w której codziennie rabunków i „polowań” dokonywali „nadludzie” w niebieskich mundurach. Mieszkałem przy ul. Grunwaldzkiej (rozdroże w kier. Słobudki), codzienny widok plonów „polowań” wywożonych z Getta na ręcznych wózkach przez wygłodzonych i przestraszonych Żydów, którym towarzyszył „kondukt” dzieci i kobiet w kierunku okopiska na wzgórzu Łokuteckie, z którego już nigdy nie wracali, utkwił na zawsze w mej pamięci. Dobiegające zaś odgłosy karabinu maszynowego i pojedynczych strzałów świadczyły o rozgrywających się tam dramatach. W szkole coraz częściej panowie w czarnych skórzanych płaszczach dokonywali inspekcji i przeglądu młodzieży w poszukiwaniu „podejrzanej” rasy. W miarę niepowodzeń wojsk niemieckich na froncie wschodnim wzrastał się ich terror do ludności polskiej. Aresztowania, wywózka do obozów, rewizje i przesłuchania były podstawą zastraszania i zniewalania mieszkańców podbitych ziem. Sprzymierzeńcem w działaniach okupanta stał się szowinizm i nacjonalizm zachodnio-ukraiński, widzący w terroryzmie i zastraszaniu ludności polskiej drogę do „samostijnj”. Z okolicznych wiosek i miasteczek docierały informacje o nieprawdopodobnych mordach i przemocy wobec mniejszości polskiej.

Mijający czas rozmył już w mej pamięci szczegóły tych wydarzeń, których nie byłem bezpośrednim świadkiem, a jedynie słuchaczem wielu opowiadań P.P. Kańskiego, Kosiora i innych sąsiadów w domu moich rodziców. Jak żłudna to była droga do niepodległości, obrona przez Ukraińców, dowiodły późniejsze decyzje możliwych tego świata w Jałcie. Eskalowany konflikt ukraińsko-polski był jedną z kart przetargowych Stalina wykorzystany na jałtańskim targowisku, a wyrządzone krzywdy i zadane wówczas Polakom rany do dziś trudno się goją. Niemcy na wielu frontach zaczęli ponosić duże straty, a powstałe z niedawnych zesłańców w Związku Radzieckim polskie armie, podbudowały ducha, że „jeszcze nie zginęła”. Polskojęzyczne radio BBC słuchane w ukryciu wzbogacało siły przetrwania, było źródłem informacji o walce z okupantem na ziemiach Polski organizacji „podziemnych”. Każda wiadomość o sukcesach sprzymierzonych dawała nadzieję zmiany losu Polaków, dawała nadzieję niepodległości. Jesienią 1943 r. stałem się już „nastolatkiem”. Jak wielu moich rówieśników grałem w szmaciankę gdzie się dało: na Stawiskach, Hofie lub na łące za Chajką. W czasie przerw lub po lekcjach w parku miejskim mieliśmy też swoją wojnę na kasztany, z której wielu wracało z gulą na głowie. O zmroku w jesienne popołudnia zaliczaliśmy wierzchołki drzew w ogrodzie domów, gdzie mieszkali P.P. Sokołowscy i Tabińskie. Specjalistką tu była Danusia Tabińska (wysoka, szczupła). Tu też rodziły się pierwsze uczucia, choć dziewczyny – równieśniczki chłopców – czują się w tym wieku już panienkami, to dla Lali (siostry Danusi) nie byłem obojętny. A może to tylko wytwór chłopięcej fantazji? Losy

wojenne i późniejszej emigracji nie pozwoliły wielu się w tym utwierdzić.

Wściekłość Niemców wzrastała w wyniku klęski stalingradzkiej i na Łuku Kurskim. Dokonano zagłady mieszkańców getta tłumackiego. W dzielnicy „Meksyk” wiało pustką, jedynie wiatr w opustoszałych domach grał melodię zbrodni, jaka się tu dokonała.

Przez miasto od strony Horodenki coraz częściej i liczniej przejeżdżały niemieckie pojazdy wojskowe i sanitarne. Od Morza Czarnego i Rumunii wiał ciepły wiosenny wiatr, a w powietrzu unosił się zapach prochu. Na niebie ukazywały się częściej samoloty. Pod koniec marca 1944 r. władze niemieckie opuściły miasto, a ich miejsce zajmowały napływające wojska węgierskie, które miały bronić tego odcinka frontu.

Zza wzgórz Kahawy i Pilawszczyzny coraz donośniej dobiegały odgłosy kanonady i wybuchy bomb. Od chwili utraty niepodległości Tłumacz i okolice omijały wichry wojny, teraz po raz pierwszy frontowy walec toczył się w kierunku miasta. Ciepłe, pogodne południe marcowego dnia, panuje jakaś dziwna cisza. Ja z gromadą rówieśników i dzieci państwa Zajączkowskich (u których mieszkaliśmy) przyjaźnie uśmiechamy się do żołnierzy węgierskich okopujących się w ogrodach przyległych domów ul. Grunwaldzkiej. Ojca nie ma chwilowo w domu. Mama każe mi iść do babci w Pałahiczach. Nie wiem dlaczego? Przypuszczam (dziś tak myślę), że chciała mnie uchronić przed ewentualnymi skutkami działań wojennych na terenie miasta. Wieś uchodziła pod tym względem za bardziej bezpieczną.

W drodze do Pałahicz, za mostkiem na końcu ul. Słowackiego, pod sklepem p. Czerwaka pośpiesznie rozkładano działko z cienką, długą lufą skierowaną na tę ulicę, a wzdłuż drogi do stawu i na jego grobli grupy żołnierzy uzbrojonych w karabiny ręczne i maszynowe zajmowali dogodnie pozycje obronne. Dziwne to dla mnie do dziś, że nikt nie zatrzymał, ani nie zawrócił małolata z obranej wędrowki. Po dojściu do pierwszych zabudowań na skraju wsi (to był cel mojej podróży) – od strony drogi podgórskiej Łokutki – Pałahicze, dobiegał głośny warkot silników. Ujrzałem kilka czołgów nacierających przez pola na gościniec Tłumacz – Stanisławów. Padły strzały z dział i seria z karabinu maszynowego. Poczulem paraliżujący lęk, a nogi zadygotały. Przestraszony wbiegłem do domu babci, która wraz z córkami (siostry mamy i ojca jednocześnie) Milką i Nušką odmawiały modlitwę przy zapalanej gromnicy. Były wielce zdziwione moim nagłym przybyciem w tak szczególnym czasie. Od strony Tłumacza i gościńca przez około godzinę docierały odgłosy serii z karabinów maszynowych i pojedynczych wybuchów. Po czym zapadła cisza. Jedynie małe grupki żołnierzy z gwiazdą na furazerkach i z pepeszami w ręku obrzeżem wioski podążały na zachód. Było już późne popołudnie. Niebo poszarzało, a mnie opanował nastrój niepokoju o los najbliższych. Postanowiłem wracać do domu mimo sprzeciwu babci i ciotek. W drodze powrotnej na polach w okolicach stawu nazywanych Wesołą, zastany widok mnie poraził. Na pobojowisku kilku martwych żołnierzy węgierskich, dogorywające samochody, porzucone karetki sanitarne, porzucona broń i sprzęt świadczyły o rozegranym tu dramacie ludzkich istnień w nieludzkiej wojnie. Pole bitewne plądrowali już chłopci

z okolicznych wiosek, niczym hyeny pozabawiając nawet martwych butów i odzienia. Wielu z nich wory napełniało granatami, bronią i amunicją. Ja też dokonałem procederu zaboru nart z rozbitej sanitarki, które po chwili zostały mi odebrane przez starszego wiekiem rabusia.

Do domu wróciłem o zmroku. Wszyscy byli cali i zdrowi. Wg opowiadań ojca w mieście większych starć nie było, bo Węgrzy spodziewali się głównego natarcia

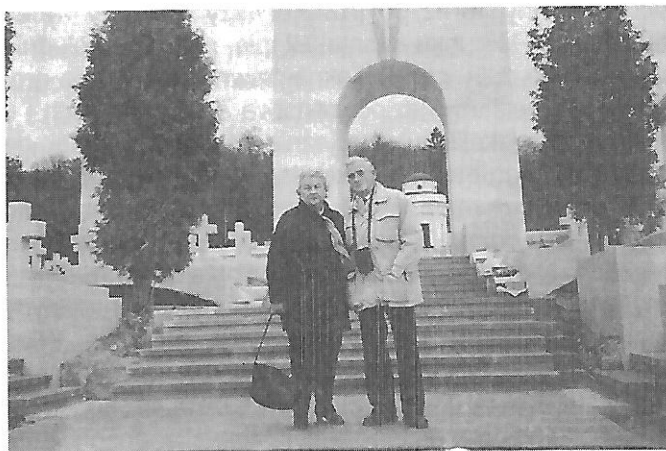
Ruskich od strony Baszty, a oni dokonali manewru obejścia i zaatakowali z tyłu, od strony północno-wschodniej. Ten manewer uchronił miasto od zniszczeń, choć rozegrana bitwa była tylko potyczką, jedną z wielu w tej wojnie.

Front na tym odcinku zatrzymał się na dwa tygodnie w Tyśmienicy na przedpolach Stanisławowa i zaledwie 15 km od Tłumacza. (c.d.n.)

Z życia Tłumaczan

Świąteczna pomoc – 3 godziny w Tłumaczu

Danuta Tabińska-Juhasz



*Danuta Tabińska-Juhasz i Tadeusz Bodniak
na cmentarzu Orłąt Lwowskich*

Przed świętami Bożego Narodzenia razem z Tadeuszem Bodniakiem braliśmy udział w misji pomocy świątecznej dla Rodaków za wschodnią granicą zorganizowaną przez Fundację Kresową „Semper Fidelis”. Z czteroosobowej delegacji nam przypadł teren Stanisławowa i okolic, według zaleceń polskiego konsulatu we Lwowie, do którego zgłosiliśmy się zaraz po przyjeździe. Konsul Dębicki uważa, że z pomocą trzeba docierać na teren nigdy nie odwiedzany. Po drodze do Stanisławowa odwiedziliśmy probostwo w Rohatynie. Znajduje się tam stary zabytkowy, teraz odremontowany kościół. W zakamarkach za zakrystią mieszkają 3 młode zakonnice z Krakowa, które uczą polskie dzieci języka i katechezy. Natomiast ks. Anatol Zajączkowski mieszka w wysokiej wieży kościoła (bez ogrzewania). Przy kawie wysłuchaliśmy ich pionierskich opowieści, jak wraca tu religia i polskość. Bardzo lubiany przez wszystkich ks. Anatol był wdzięczny za pozostawioną mu pomoc dla najbiedniejszych jego parafian. W Stanisławowie zatrzymaliśmy się w Domu Parafialnym. Pięknie odremontowany kościół pod wezwaniem Chrystusa Króla na Górcie powitał nas bielą nowej elewacji i pięknym nowym ogrodzeniem. Tutaj Polacy są zorganizowani w kilku stowarzyszeniach. Tow. Kultury Polskiej „Przyjaźń” zobowiązało się do przygotowania paczek żywnościowych z przywiezionych przez nas pieniędzy i przekazania ich wszystkim biednym Polakom, nie tylko członkom ich towarzystwa. W liście z podzię-



Kościół pw. Chrystusa Króla w Stanisławowie

kowaniami do Fundacji Kresowej „SF” Prezes Lucyna Kubicka pisze tak: „Zakupiliśmy za otrzymane hrywny art. żywnościowe w polskiej hurtowni (dużo taniej) i zrobiliśmy 250 paczek. W Domu Parafialnym w dniu 30 grudnia odbyło się tradycyjne spotkanie opłatkowe przy świecach i choince. Dookoła świątecznie przystrojonych stołów zebrali się seniorzy wspólnoty polskiej, członkowie religijnych i kulturalnych polskich towarzystw, a także ludzie samotni i starzy, po prostu parafianie, którzy w ciągu całego roku brali udział w życiu kościoła i parafii. Potrawy na wigilijną wieczerzę przygotowały Siostry z Rodziny Franciszkańskiej. Uczestniczył w niej J. E. Biskup Stanisław Padewski, proboszcz Kazimierz Halimurka - inicjator bożonarodzeniowych uroczystości oraz młody kapłan z Roku Jubileuszowego, wikariusz Paweł Czyryk i Siostry Urszulanki. W nastrojowej rodzinnej atmosferze dzielono się opłat-

kiem, składano sobie życzenia, śpiewano kolędy. Po wieczery wszyscy obecni otrzymali prezenty - paczki żywnościowe. Chorym i niepełnosprawnym paczki doręczono do domów. Dowieziono je również do parafii otyńskiej, gdzie dotarli do takich wsi jak Uhorniki, Grabież, Głęboka, Hołosków, do parafii Łysieckiej i do Bohorodczan." Na zakończenie listu nastąpiły podziękowania dla Fundacji Kresowej „SF” oraz dla wszystkich ofiarodawców. Do listu były dołączone wykazy z własnoręcznymi pokwitowaniami odbioru paczek.

W czasie naszego przedświątecznego pobytu w Stanisławowie podzieliliśmy się i Tazio Bodniak pojechał na Pałahicze, Niżniów, a ja na te 3 godziny do Tłumacza. Grudniowy dzień był wietrzny lecz pogodny. Wzmoczone bicie serca już poczułam przy mijaniu stawu. Po jego przeciwnej stronie zastałam w domu Josię Wasylyszyn, która właśnie zamykała drzwi, gdyż wybierała się do córki do Stanisławowa. Zabrałam ją do samochodu jako przewodniczkę (grzecznościowo woził mnie p. Czaszczyszyn, mąż Polki ze Stow. „Przyjaźń”). Odwiedziliśmy Hankę Huculak, Marię Sawkę i jej córkę Nusię oraz Józefę Pawłowską, która w dalszym ciągu mieszka w zawalonej kuczcy, chyba są to resztki organistówki. Wszędzie nas przyjmowano z wylewną radością i z wielkim zażenowaniem przyjmowano ten symboliczny wyraz pamięci. Życie jest tam

coraz cięższe, pozamykane fabryki, rozwiązane kołchozy, bezrobocie, stałe podwyżki. Rachunki za gaz przewyższają emeryturę. Dlatego należy naszym krajonom pomagać. Te łzy wdzięczności, uściski mówią jak bardzo jest im potrzebne wsparcie, nie tylko materialne, ale i duchowe – że jeszcze pamiętamy o nich. Zachowany w naszej pamięci obraz Tłumacza, a zwłaszcza jego centrum, zmienił się zupełnie. Brak kościoła i dwie nowe budowle sakralne zmieniły jego wygląd diametralnie. U wylotu ul. Słowackiego stoi stylowa cerkiewka prawosławna z dzwonnica, wrotami, obita całą lśniącą blachą. Nieco dalej na rogu po lewej stronie idąc do dawnego kościoła stoi piękna olbrzymia cerkiew greko-kat. plecami swymi dochodzi do początku ul. Grunwaldzkiej. Żałowałam, że nie mogłam zobaczyć jej wnętrza, ale nie było w domu człowieka, u którego znajduje się klucz. Trudno mi było dopytać się jacy jeszcze żyją w Tłumaczu mieszkańcy pochodzenia polskiego. Muszą jednak tacy być, skoro zgłosiło się 15 osób do biskupa St. Padewskiego z prośbą o wybudowanie kaplicy rzym.-kat. w Tłumaczu. Życząc im powodzenia trzeba będzie wspierać tę inicjatywę.

Z wielkim żalem i rozczuleniem opuszczałam znajome uliczki mego dzieciństwa, jak zawsze brak czasu przepędzał mnie stąd i nie pozwolił snuć dalszych wspomnień.



Spotkanie oplatkowe w Domu Parafialnym w Stanisławowie. XII 2000 r.



Świąteczna szopka w Stanisławowie. XII 2000 r.

Listy

Fragment listu napisanego do Jurka Czyżyckiego przez jego siostrzeńca Jacka Szczepińskiego zamieszkałego w Toronto. Autor listu jest sekretarzem redakcji codziennej gazety „Dziennik” ukazującej się w tym mieście.

Toronto, 23. 01. 2001

Zacznę po staropolsku...

DROGI WUJU!!!

Przede wszystkim dziękuję za przesyłki jakie już otrzymałem od Ciebie (Zeszyty Tłumackie). Czytam je od deski do deski jeszcze tego samego dnia, kiedy listonosz mi je zostawia w skrzynce. Mało tego. Wracam do tych tekstów w miarę przyswajania innych wiadomości o tamtych czasach i miejscach. Wspomnienia wspomnieniom nierówne, jednak są to doskonałe teksty źródłowe. Wszystkie wspomnienia należy zapisywać, utrzymywać dla przyszłych pokoleń, historia jest niestety tylko nauką interpretacji, a prawda nigdy nie jest jedna, a już na pewno nie jest obiektywna.

Zawiadomienie

Zawiadamiamy wszystkich członków i sympatyków, że nasze coroczne „WCZASY” odbędą się w dniach 1-14 czerwca 2001 r. w ośrodku wypoczynkowym WZRB-Gniezno w Kołobrzegu przy ul. Arciszewskiego.

Zgłoszenia udziału prosimy przysyłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 30 kwietnia br. na adres Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan ul. Ruska 32/33 I p. 50-075 Wrocław.

Koszt pobytu w domku 18 zł osobodzień, w kontenerze 15 zł.

Ze względu na ograniczoną ilość miejsc obowiązuje pisemne zgłoszenie w wyznaczonym terminie.

Zarząd

Lista ofiarodawców za I kw. 2001 r. (w zł)

1. Grzegorz Piotrowicz, Tarnów	22	27. Maria Sapa, Nysa	2
2. Janina, Józef Duszyński, Gdynia	56	28. Krystyna Hryhorczuk, Oława	2
3. Wanda Fedorowicz Świrzewska, USA	20	29. Andrzej Gabański, Anglia	70
4. Janina Juszcak, Jeżów Sudecki	42	30. Jan Masłowski, Smolec	5
5. Stanisława Stępińska, Wrocław	5	31. Ewa Małecka, Głubczyce	10
6. Maria Szelc, Brzeg	5	32. Stef. Mańkowska, N. Sącz	20
7. Wanda Jagiełło, Kraków	8	33. Władysław Hapoński, Lublin	12
8. Jerzy Pielasz, Gliwice	12	34. Anna Bocheńska, Wrocław	30
9. Jadwiga Chruszczyk, Kanada	33,80	35. Stanisł. Janicka, Wschowa	5
10. Aniela Piśkiewicz, Szwecja	6	36. Teresa Olszańska, Gliwice	20
11. Andrzej Wiszniewski, Zabrze	10	37. Władysł. Rzucidło, Warszawa	62
12. Adam Woroszczuk, Dzierżoniów	20	38. A.T. Sokółwscy, Paczków	30
13. Jan Bielański, Wrocław	30	39. Janusz Wiośniewski, Zabrze	20
14. Stanisława Holyńska, Łódź	2	40. Juliusz Petrus, Rzeszów	30
15. Henryka Jankowska, Lubsko	2	41. Maria Ruczkowska, Katowice	14
16. Krystyna Szymulowicz, Stargard Gubiński	2	42. Edward Śniechowski, Anglia	142
17. Jadwiga Bogucka, Opole	2	43. Emilia Bilut, Rzeszów	62
18. Irena, Włodzimierz Tomyn, Warszawa	76	44. Romuald Tuzinkiewicz, Wrocław	12
19. Maria, Marian Adamczak, Oborniki	7	45. Józef Czohara, Chorzów	12
20. Filomena Wesoła, Oława	2	46. Ks. Stanisław Turkowski	100
21. Janina Kieba, Rawicz	4	47. Julian Obarymski, Wrocław	10
22. Romana Jonson, Nysa	7	48. Mira strahl, Wrocław	15
23. Jan Ślęzak, Wrocław	2	49. Maria Piotrowicz, Kąty Wr.	15
24. Ludmiła Thosz, Kraków	12	50. Elżbieta Piotrowicz, Wrocław	15
25. Krystyna Marciniak, Warszawa	12	51. Jan Stim, Francja	8
26. Bogumiła Przybyło, Kraków	24		

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

† ODESZLI



Wspomnienie o „Dzidku”

16 października 2000 roku zmarł w wieku 70 lat mgr inż. **Józef Lechowicz**, Tłumaczanin, najlepszy kolega z ławy szkolnej. Fachowe czasopismo „Konstrukcje stalowe” we wspomnieniu o swoim

długoletnim pracowniku pisze: „... powszechnie lubiany i szanowany, świetny organizator, inżynier zasłużony przy budowie i rozbudowie gospodarki narodowej”.

Po ukończeniu Politechniki Śląskiej, od 1952 roku związał się z organizacją „MOSTOSTAL”, w której przepracował 40 lat na stanowiskach:

Kierownika Grupy Robót w Hucie Łabędy – 1952 r.
Kierownika robót w Nowej Hucie – 1953-54 r.

Naczelnego inżyniera w Śląskim PKS-UP Mostostal Zabrze – 1955-70 r.

Dyrektora Gdańskiego PKS-UP Mostostal Gdańsk 1970-75 r.

I-go Z-cy, a następnie Naczelnego Dyrektora Zjednoczenia „Mostostal” w Warszawie 1975-1982.

Od lat 1983 do 1992 r. tj. do przejścia na emeryturę pracował za granicą kolejno w: Czechosłowacji i Niemczech prowadząc poważne budowy z ramienia „Mostostalu” i przysparzając całej organizacji sławy i splendoru. Piastując te wysokie stanowiska zawsze znalazł czas żeby spotkać się ze swoimi krajanami, gościnnie przyjmował kolegów czy koleżanki zjawiające się w

stolicy. Dzidek nie przyjeżdżał na nasze spotkania w Kołobrzegu przez przebywanie za granicą, a następnie choroby. Zawsze jednak chętnie słuchał relacji z tych spotkań, wypytując o poszczególne osoby. Zadziwiał pamięcią o życiu w naszym dawnym Tłumaczu.

Straciliśmy serdecznego przyjaciela, pełnego życzliwości dla naszych spraw tłumackich.

Rodzinę Dzidka prosimy o przyjęcie szczerych wyrazów współczucia i zapewnień o stałej pamięci o Nim.

W imieniu Tłumaczan
Danuta Tabińska-Juhasz



Dnia 14.01.2001 roku odeszła od nas z tego świata **Halina (właściwie Helena) Piotrowicz z domu Zagórska**. Urodziła się ona w roku 1918 jako córka Rudolfa i Katarzyny z d. Łuckiej – Zagórskich, zamieszkałych we wsi Nadrożna.

Była osobą niezwykle ciepłą, pogodną, z poczuciem humoru. Z wielkim zainteresowaniem śledziła dzieje i życie

społeczności tłumackiej na łamach „Zeszytów Tłumackich”. Pomimo leciwego wieku odznaczała się wspaniałą pamięcią i zdołała mnie oczarować swoimi wspomnieniami z lat dzieciństwa i młodości.

Została pochowana na cmentarzu w leżących niedaleko Wrocławia Kątach Wrocławskich. Jej osobie poświęcam te kilka strof:

Pożegnajmy sędziwą niewiastę wspomnieniem,
Oddajmy cześć jej pobożnym westchnieniem.
Gdyż ona dzisiaj na nas będzie patrzeć z góry,
Polecona Bogu, wstąpi między chmury.

Ona rozstała się ze światem, ze sprawami ziemskimi,
Chcąc powrócić do domu ścieżkami dziecięcymi.
Domu w Nadorożnej, w tłumackim powiecie,
Gdzie z pól chleb się zbierało, a w ogródkach kwiecie.

Pożegnajmy łzą pamięć tej Kresowej Pani,
Ona przecież zostanie gdzieś między nami.
Była to także i ciocia moja,
Ostatnia z rodu Zagórskich herbu Ostoja...

Adam Biliński

Stanisław Jakoweńko ur. 28 stycznia 1915 r. w
Tłumaczu zmarł 27 listopada 2000 r. we Wrocławiu.

Bronisława Burczyńska przeżywszy lat 81 zmarła
9 marca 2001 r. w Nysie.

Eleonora Niekowska z d. Bilińska przeżywszy lat
89 zmarła 21.02.2001 r. w Krakowie.

Rodzinom Zmarłych Tłumaczan przesyłamy szcze-
re wyrazy współczucia

Redakcja i Zarząd

Spis treści

Życzenia Wielkanocne i wiersz ks. Adama Solca	1
Z Tłumacza – do wrocławskiego Muzeum Archidiecezjalnego – Jerzy Czyżycki	1
I Wspomnienia z I wojny światowej	
Przygody wojenne artylerzysty – kowala z Jezierzan – Mieczysław Zdanowicz	2
II Tłumacz w dwudziestoleciu międzywojennym	
Powrót (c.d.) – Franciszek Petrus	4
III Tłumacz w latach wojennych 1939-1945	
Wspomnienia wojenne Marii Johnson – Na podstawie wspomnień mojej matki utrwalonych na taśmie opracował Jan Johnson	6
Rodzicom – wiersz – Romana i Jan Johnson	9
Pamiętnik J. A. Jakubowicza (c.d.)	11
IV Album Pałahickie Henryka Rodakowskiego (c.d.)	14
Dalszy ciąg rozdziału III – Tłumacz w latach wojennych 1939-1945	
Wieś Tarnawica Polna w powiecie tłumackim i zapomniana placówka AK – Ryszard Brykowski – (Wyjątek z książki pt. „Europa NIE prowincjonalna. Przemiany na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej – Białoruś, Litwa, Łotwa, Ukraina – wschodnie pogranicza III Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1772-1999”. Praca zbiorowa	19
V Kościół pw. św. Anny – tłumaccy księża	
Ks. Mikołaj Witkowski w moich wspomnieniach z Tłumacza (c.d.) – Ks. Lesław Jeżowski	23
Czas odnaleziony – Ks. dr Stanisław Turkowski – Fragment przemowy wygłoszonej na zjeździe b. mieszkańców miasta Horodenki	25
VI Sagi rodzinne	
Ze wspomnień małolata (III) (c.d.) – Tadeusz Bodniak	26
VII Z życia Tłumaczan	
Świąteczna pomoc – 3 godziny w Tłumaczu – Danuta Tabińska-Juhasz	28
Fragment listu do Jurka Czyżyckiego od Jacka Szczepińskiego	29
Zawiadomienie	29
Lista ofiarodawców za I kw. 2001 r. (w zł)	30
VIII Odeszli	
Wspomnienie o „Dzidku” – Danuta Tabińska-Juhasz	30
Halina Piotrowicz – Adam Biliński	30
Dzielimy się opłatkiem – Anna Jasińska „Nusia Tomyn” – zdjęcia z „Opłatka”	32

Redaguje zespół w składzie:

Danuta Tabińska-Juhasz – redaktor naczelny

Redakcja techniczna:

Helena Bilińska, Anna Panachida-Bocheńska, Krystyna Ossowska-Korta

Adres Redakcji:

Franciszek Borkowski

TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan. 50-079 Wrocław,
ul. Ruska 32/33, I p. Tel. 071/344-88-93.

Konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław 10205255-434384-270-1

Materiałów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Zwracamy natomiast przysyłane nam zdjęcia lub widokówki.

W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów

oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Dzielimy się opłatkiem

Anna Jasińska
„Nusia Tomyń”

Od Wrocławskiego Grona Tłumaczan otrzymaliśmy serdeczne zaproszenie na tradycyjne spotkanie opłatkowe. To jest cudowne, że możemy się spotkać jak co roku w atmosferze życzliwości, ciepłej wymiany uścisków, myśli, życzeń sobie wzajemnie złożonych. Dnia 27 stycznia – sobota – 2001 r. g. 14.00 w restauracji „Bankowa” przy ul. Dąbrowskiego 44 we Wrocławiu zebrało się liczne grono Tłumaczan przybyłych z całej Polski. Było nas 45 osób. Panowała atmosfera bardzo uroczysta i każdy z obecnych przeżywał to wielkie dla nas wydarzenie. Po przywitaniu się wzajemnym naszej rodziny tłumackiej, każdy zajął miejsce przy pięknie nakrytym stole. Sala konsumpcyjna była ładnie udekorowana co jeszcze podniosło nastrój naszego spotkania. Prezes tłumaczan Z. Burczyński powitał nas jak zawsze słowami serdecznymi, a jeszcze większym i bardzo pełnym miłego zaskoczenia było powitanie nas przez ks. kanonika Stanisława Dragułę, który sprawuje służbę bożą wśród dawnych mieszkańców Kresów. Chrześcijańskim obrzędkiem rozpoczynaliśmy nasze spotkanie. Dzielenie się opłatkiem nabierało teraz gorętszej atmosfery mając na uwadze zadedykowane nam przez Redakcję Zeszytów skróty wiersza ks. Jana Twardowskiego. Długo trwało to wzajemne dzielenie się ciepłem słów, aprobaty i uszanowania. Był z nami gość z Kresów ze Lwowa V-ce prezes Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Bolesław Sudomlak. Sekretarz Oddziału Jurek Czyżycki odczytał wiele przysłanych życzeń od Krajanów naszych z kraju i z zagranicy, którzy nie mogli uczestniczyć w tegorocznym spotkaniu. Dużo miłych niespodzianek duchowych i rzeczowych przygotowali dla nas nasi organizatorzy. Nasz duchowy Przywódca Redaktor Naczelna Zeszytów, a jednocześnie Dyrektor Fundacji „Semper Fidelis” Danuta Tabinska-Juhasz obdarowała każdego, jak to powiedziała, swoim ostatnim dzieckiem – barwnie, estetycznie wydanym folderem Fundacji wraz z życzeniami i refleksyjną piosenką kresową. Po tej duchowej uczcie nastąpiła uczta staropolskiego stołu, sztuki kulinarnej.

Na stole było wszystko co należało do polskiej, wschodniej, kresowej tradycji bożonarodzeniowej. Przepraszam, ale kuti nie było! Zabrakło śp. Irenki Burczyńskiej – na pewno by była. Natomiast były wspaniałe ciasta przepisów tłumackich, oczywiście dziełem rąk naszych Koleżanek. Nad ciastkami, makowcami, piernikami górował olbrzymi, wspaniały, pięknie udekorowany tort makowo-orzechowy (przepis tłumacki). Tort ten zapewne w uciążliwym trudzie przywieziony ze Stargardu Gubińskiego był centralną ozdobą stołu. „Autorem” tego cukierniczego dzieła była Kryśia Szymulowicz. W czasie biesiady strzelały korki od szampa. Pojawił się też inny napój. Było to „Jurne wino” z piwniczki Jurka Czyżyckiego – och!! Konsumowaliśmy wszystko z wielkim apetytem, a trunki koily nasze roztkliwione dusze. W tym miejscu jeszcze raz pięknie dziękujemy za te wszystkie wspaniałości. Gromko, jak żadna inna kolęda, zabrzmiała nasza „tłumacka” „Bóg się rodzi”. Tak, nasza tłumacka, bo słowa do niej napisał Franciszek Karpiński, nasz krajan – poeta. Prowadziliśmy rozmowy o czasach dawno minionych i o obecnym naszym życiu. Janka Johnson przeczytała wiersz swego autorstwa napisany specjalnie na naszą uroczystość. Pan Teodor Juhasz, małżonek Danusi, uwiecznił spotkanie na kasecie video. Zaprzyjaźniony z nami rzecznik prasowy red. Z. Umański bardzo dokładnie wykonywał dokumentację fotograficzną. „Dziewczyny” zasilone znikomymi głosami męskimi śpiewały nasze piękne kolędy polskie z tekstów dostarczonych przeze mnie. Na zakończenie zaintonowały piękną piosenkę pt. „Na pożegnanie”. Rozmowom, wspominkom nie było by końca, gdyby nie czas, który nigdy z niczym się nie liczy, przerwał te piękne chwile.

Dziękujemy pięknie Organizatorom za to nasze opłatkowe spotkanie i polecamy się na przyszłość. Roztkliwieni, zadowoleni, „przenicowani” wracamy do swoich domów, obowiązków z nadzieją zobaczenia się w Kołobrzegu. Z okazji tradycyjnego Opłatka wszystkim Tłumaczanom, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w naszym wspólnym świętowaniu, przesyłamy ciepłe słowa, serdeczne pozdrowienia, piękne ukłony wraz z życzeniami dobrego zdrowia, radości, dobrego humoru, aby znów zobaczyć się w Kołobrzegu. Daj Wam Boże Wszystkim zdrowie.





PODZIAŁ RZECZYPOSPOLITEJ NA WOJEWÓDZTWA I POWIATY

